

JUAN RULFO

PEDRO PÁRAMO

(PRZEŁOŻYŁA: KALINA WOJCIECHOWSKA)

Pojechałem do Comala, bo powiedziano mi, że tam mieszka mój ojciec, niejaki Pedro Páramo. Matka mi to powiedziała. I przyrzekłem, że pojedę go odwiedzić po jej śmierci. Uścisnąłem rękę matki na znak, że dotrzymam obietnicy: za chwilę miała umrzeć i byłem gotów przyrzec jej wszystko. „Nie zaniedbaj tego – prosiła. – Nazywa się tak i tak. Jestem pewna, że ucieszy się, gdy cię pozna”. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak zapewnić ją, że to zrobię, i powtórzyłem to wiele razy, nawet wtedy gdy już z trudem uwolniłem dłonie z uścisku jej martwych rąk. Przedtem jeszcze przykazała mi:

– O nic go nie proś. Zażądaj tego, co nasze. Tego, co miał obowiązek mi dać, a nigdy nie dał. Nie pamiętał o nas. Każ mu drogo zapłacić za to zapomnienie.

– Tak zrobię, mamó.

Nie myślałem jednak o dotrzymaniu przyrzeczenia. Dopóki nie zaczęły mnie trapić dziwne sny i nawiedzać zjawy. Tak zaczął tworzyć się we mnie cały świat wokół nadziei, którą był tamten człowiek, nazwiskiem Pedro Páramo, mąż mojej matki. Dlatego wybrałem się do Comala.

Był to okres kanikuły, kiedy powietrze sierpniowe bucha żarem, zatrute zgniłą wonią mydlnicy.

Droga pięła się pod górę i opadała w dół. *Wspina się lub opada zależnie od kierunku, w jakim się idzie. Dla kogoś, kto idzie w tę stronę, droga biegnie pod górę, dla tego, co wraca – w dół.*

– Jak mówicie, jak się nazywa to miasteczko czy wieś tam, w dole?

– Comala, panie.

– Na pewno to już Comala?

– Na pewno, panie.

– A czemu tak ponuro wygląda?

– Takie czasy, panie.

Wyobrażałem sobie, że ujrzę to wszystko poprzez wspomnienia matki, poprzez jej tęsknotę między ułamkami westchnień. Zawsze żyła, wzdychając za swymi stronami rodzinnymi, za powrotem, ale nigdy do nich nie wróciła. Teraz ja tu przybywam zamiast niej. Niosę z sobą oczy, którymi ona patrzyła tam na wszystko, bo dała mi swoje oczy do patrzenia. *Jest tam, kiedy już miniesz port Los Colimotes, piękny widok na zieloną równinę z żółtymi plamami, kiedy dojrzewa kukurydza. Z tego miejsca widać już Comala, bo ziemia bieleje i oświetla to miasteczko w ciągu nocy.* I mówiła to jak sekret głosem zgaszonym, jakby rozmawiała sama z sobą... Moja matka.

– A po co pan idzie do Comala, jeżeli można wiedzieć? – usłyszałem pytanie.

– Zobaczyć się z moim ojcem – odpowiedziałem.

– Ach! – powiedział tamten.

I zamilkliśmy obaj.

Schodziliśmy w dół zbocza, słuchając rytmicznego stąpania osłów. Oczy kleiły się nam do snu w sierpniowym upale.

– To będzie dla niego prawdziwe święto – usłyszałem głos mego towarzysza. – Od tylu lat nikt już tu nie przyjeżdża.

Po chwili dodał:

– Kimkolwiek pan jest, rad będzie pana powitać.

W rozżarzoną blasku słonecznym równinę wyglądała jak przezroczyste jezioro, rozplywając się w mgłach na szarym horyzoncie. Dalej widać było linię gór. Za górami nic prócz szarej dali.

– A jak wygląda pański ojciec, jeśli można wiedzieć?

– Nie znam go – powiedziałem. – Wiem tylko, że nazywa się Pedro Páramo.

– Ach, więc to on!

– Tak. Powiedziano mi, że tak się nazywa.

Usłyszałem nowe „Ach!” mulnika.

Spotkałem go na rozdrożu Los Encuentros, gdzie krzyżuje się kilka dróg. Czekałem tam chwilę, aż wreszcie ukazał się ten człowiek.

– Dokąd idziecie? – spytałem go.

– Drogą w dół, panie.

– Znacie może miejscowość, co się nazywa Comala?

– Właśnie tam idę.

Ruszyłem więc za nim. Szedłem jego śladem, usiłując nie zostawać zaledwie w tyle, aż wreszcie zauważył, że go ścigam, i zwolnił kroku. Potem szliśmy tak blisko jeden drugiego, że niemal dotykały się nasze ramiona.

– Ja także jestem synem Pedra Páramo – powiedział mi.

Stado kruków przeleciało nad naszymi głowami, przecinając puste niebo, z głośnym krakaniem.

Z trudem pokonawszy wzgórze, zstępowaliśmy coraz niżej w dolinę. Na górze zostawiliśmy upalne powietrze i pogrążyliśmy się w czystym żarze, bez najłżejszego

podmuchu. Wszystko zdawało się zastygłe, jakby w oczekiwaniu czegoś, co miało nastąpić.

– Gorąco tu – odezwałem się.

– Tak, ale to jeszcze nic – odpowiedział mój towarzysz. – Niech się pan nie przejmuj. Odczuje pan to jeszcze dotkliwiej, kiedy dojdziemy do Comala. To miasteczko stoi na rozżarzonych popiołach ziemi, u samych bram piekła. Mówią nawet, że wielu z tych, co tam umierają, wraca jeszcze z piekła po swój koc.

– Znacie Pedra Páramo? – spytałem go.

Odważyłem się na to, bo dostrzegłem w jego oczach odrobinę ufności.

– Kto to jest? – spytałem znowu.

– To chodząca po ziemi uraza – odpowiedział.

I pognał osły, bez potrzeby zresztą, bo i tak wyprzedziły nas znacznie, gdyż nabrały rozpędu, schodząc w dół.

Dotknąłem fotografii matki, którą miałem schowaną w kieszonce koszuli. Grzała mnie w serce, jakby i ona także się pocila. Była to stara fotografia z postrzępionymi brzegami, ale jedyna, jaką posiadałem. Znalazłem ją w kuchni w szafie, w kamiennym garnku pełnym zasuszonych ziół: szaławii, liści melisy i gałązek ruty. Zachowałem ją od tamtego czasu. Jedyna podobizna matki, jaką znałem. Matka nigdy nie lubiła się fotografować. Twierdziła, że to pachnie czarami. I tak chyba być mogło, bo fotografia była podziurawiona, jakby od ukłuc igłą, a w okolicy serca znajdowała się wielka dziura, w której prawie zmieściłby się palec serdeczny.

Teraz zabrałem zdjęcie z sobą, myśląc, że może mi się przydać, żeby ojciec mnie rozpoznał.

– Proszę spojrzeć – mówi do mnie mulnik, zatrzymując się. – Widzi pan to zbocze podobne do pęcherza wieprzowego? No więc tam, za nim, jest Media Luna. Teraz proszę obrócić głowę. Widzi pan ten występ na wzgórzu? Niech się pan dobrze przypatrzy. A teraz proszę spojrzeć w tę stronę. Widzi pan ten drugi występ, tam, bardzo daleko, że ledwie można go dostrzec? Otóż to wszystko jest Media Luna, od krańca do krańca. Cała ziemia, jaką można objąć wzrokiem. I to wszystko należy do niego. Co nie przeszkadza, że nasze matki urodziły nas na słomianym barłogu, choć jesteśmy synami Pedra Páramo. A najzabawniejsze, że to on sam woził nas do chrztu. Z panem musiało być tak samo, prawda?

– Nie pamiętam.

– Tam do diabła!

– Co mówicie?

- Że już zaraz będziemy na miejscu.
- Tak, chyba że tak. Ale co to jest?
- „Włóczęga”, panie. Tak nazywają tu te ptaki.
- Nie, ja pytałem o miasteczko, czemu wygląda jak wymarłe? Wydaje się, że nikt tu nie mieszka.
- Nic się nie wydaje. Tak jest. Tutaj nikt nie mieszka.
- Pedro Páramo?
- Pedro Páramo od wielu lat już nie żyje.

Była to godzina, w której dzieci bawią się na ulicach wszystkich miasteczek i wsi, wypełniając swym gwarem zapadający zmierzch. Kiedy jeszcze czarne mury odbijają żółte światło słońca.

To przynajmniej widziałem w Sayula, jeszcze wczoraj, o tej samej godzinie. I widziałem lot gołębi przecinających zastygłe powietrze, trzepoczących skrzydłami, jakby chciały z nich strząsnąć dzień. Fruwały i opadały na dachy, podczas gdy w górze krążyły krzyki dzieci i zdawały się przybierać barwę błękitu na podwieczornym niebie.

Teraz byłem tu, w tej wsi bez głosów. Słyszałem, jak dudnią moje kroki na okrągłych kamieniach bruku. Moje głuche kroki, odbijające się echem o mury powleczone blaskami zmierzchu.

O tej godzinie szedłem główną ulicą. Patrzyłem na puste domy, zamknięte drzwi o progach zarosłych zielskiem. Jak mówił tamten, jak się nazywa to ziele? „*La capitana*, panie. Plaga, która czeka tylko, by opanować wszystkie domy. Zobacz pan”.

U wylotu jednej z ulic ujrzałem kobietę otuloną w czarną chustę. Znikła natychmiast, jakby nie istniała. Szedłem dalej i zaglądałem przez szpary w drzwiach. Aż wreszcie znowu minęła mnie kobieta w czarnej chustce.

- Dobry wieczór – powiedziała, przechodząc.
- Gdzie mieszka doña Eduviges? – krzyknąłem za nią.

Odwróciła się i wskazała palcem:

- Tam. W tamtym domu przy moście.

Wiedziałem, że jej głos jest głosem ludzkim, że w jej ustach są zęby i język poruszający się przy mówieniu i że jej oczy są takie same jak oczy wszystkich istot żyjących na ziemi.

Ściemniło się tymczasem.

Kobieta odeszła, życząc mi dobrej nocy. I choć nie było rozkrzyczanych dzieci ani gołębi, ani błękitnych dachów, uczułem, że ta wieś żyje. I zrozumiałem, że jeśli słyszę tylko milczenie, to dlatego że jeszcze nie przywykłem do milczenia. Może dlatego, że moja głowa huczała od hałasów i głosów.

Tak, od głosów. I tu, gdzie mało było powietrza, tym wyraźniej było je słychać. Tkwiły jak gdyby wewnątrz mnie, ciężkie, natrętne. Przypomniałem sobie, co mi mówiła matka: *Tam będziesz mnie słyszał lepiej. Będę bliżej ciebie. Bliższy wyda ci się głos moich wspomnień niż głos mojej śmierci, jeśli śmierć kiedykolwiek miała jakiś głos.* Moja matka... moja matka żyjąca.

Chciałbym jej powiedzieć: „Pomyliłaś się. Dałaś mi zły adres. Posłałaś nie wiadomo dokąd, gdzie diabeł mówi dobranoc. Do jakiejś opustoszałej miejsciny. Kazałaś mi szukać kogoś, kto nie istnieje”.

Doszedłem więc do domu przy moście, orientując się według szmeru rzeki. Zastukałem w drzwi, ale trafiłem w próżnię. Moja ręka poruszyła się w powietrzu, jakby drzwi otwarły się same. W progu stała kobieta.

– Proszę wejść – powiedziała do mnie.

Wszedłem.

Zostałem w Comala. Mulnik, który szedł w dalszą drogę, powiedział mi, nim się rozstaliśmy:

– Ja idę jeszcze dalej, tam gdzie widać kontury wzgórz. Tam mam swój dom. Jeśli zechce pan wstąpić, będę bardzo rad. A jeżeli chce pan tu zostać, to nie widzę przeszkód, chociaż nie zawadzi, żeby pan najpierw rzucił okiem dokoła, może spotka pan kogoś z żyjących mieszkańców. Zostałem więc. Po to się przecież tu wybrałem.

– Gdzie mógłbym się tu zatrzymać? – krzyknąłem jeszcze za nim, gdy zaczął się oddalać.

– Niech pan poszuka doñi Eduviges, jeżeli jeszcze żyje. Proszę jej powiedzieć, że przychodzi pan ode mnie.

– A jak się pan nazywa?

– Abundio – odpowiedział. Ale już nie dosłyszałem nazwiska.

– Jestem Eduviges Dyada. Proszę wejść.

Zupełnie tak, jakby na mnie czekała. Wszystko było przygotowane, jak mi oznajmiła, prowadząc mnie przez długi rząd ciemnych pokoi, pustych, jak się zdawało. Ale nie: gdy oczy oswoiły się z ciemnością i z cienkim sznureczkiem światła, który biegł

naszym śladem, zobaczyłem wyrastające po obu stronach cienie i wiedziałem, że idziemy wąskim przejściem między skrzyniami.

– Co to jest? – zapytałem.

– Rupiecie – powiedziała. – Cały dom mam zagracony. Ci, co stąd odeszli, wybrali go, żeby przechować swoje meble, chociaż nikt nie wrócił, żeby je odebrać. Ale pokój, który przeznaczyłam dla pana, jest w głębi. Ten mam zawsze uprzątnięty, na wypadek gdyby ktoś przyjechał. A więc pan jest jej synem?

– Czym? – odpowiedziałem.

– Doloritas.

– Tak, ale skąd pani o tym wie?

– Uprzedziła mnie, że pan się tu zjawi. I właśnie dzisiaj. Że przyjedzie pan dzisiaj.

– Ale kto taki? Moja matka?

– Tak. Ona.

Nie wiedziałem, co myśleć. Ona też nie powiedziała mi, co myśleć.

– To jest pański pokój – powiedziała.

Pokój nie miał drzwi, prócz tych, przez które weszliśmy. Zapaliła świecę i zobaczyłem, że jest pusty.

– Tu nie ma się gdzie położyć – zauważyłem.

– Tym niech się pan nie martwi. Pan pewnie bardzo zmęczony, a zmęczenie to dobry materac do spania. Jutro przygotuję panu jakieś łóżko. Pan wie, że trudno jest umeblować pokój na poczekaniu. Trzeba wiedzieć o tym wcześniej, a pańska matka zawiadomiła mnie dopiero dziś.

– Moja matka – powiedziałem – moja matka już nie żyje.

– Ach, więc to dlatego jej głos dźwięczał tak słabo, jakby musiał przebyć daleką drogę, żeby dotrzeć tutaj. Teraz rozumiem. A kiedy umarła?

– Tydzień temu.

– Biedaczka. Musiała czuć się bardzo osamotniona. Przyrzekłyśmy sobie umrzeć razem. Odejść równocześnie, żeby jedna drugiej mogła dodawać odwagi w tej podróży, na wypadek gdyby czegoś nam było trzeba, gdybyśmy napotkały jakąś przeszkodę. Byłyśmy najbliższymi przyjaciółkami. Nigdy nie mówiła panu o mnie?

– Nie, nigdy.

– To mnie dziwi. Jasne, wtedy byłyśmy jeszcze bardzo młode. A ona dopiero co wyszła za mąż. Ale kochałyśmy się bardzo. Twoja matka była taka śliczna, taka miła, że

każdy musiał ją kochać. Miało się ochotę ją kochać. A więc wyprzedziła mnie, co? Ale bądź pewien, że ją dogonię. Tylko ja rozumiem, jak daleko od nas jest niebo, ale wiem, jak można sobie skrócić drogę. Chodzi tylko o to, żeby umrzeć z łaski Boga, wtedy kiedy człowiek tego chce, a nie kiedy On to zarządzi. Albo, jeśli wolisz, skłonić go do tej decyzji przed czasem. Wybacz, że ci mówię „ty”: to dlatego, że cię traktuję jak syna. Tak, wiele razy mówiłam: syn Dolores powinien być moim synem. Później ci wytłumaczę, dlaczego. Teraz chcę ci tylko powiedzieć, że dogonię twoją matkę na jednej ze ścieżek wieczności.

Najpierw myślałem, że mam do czynienia z obłąkaną. Potem już nic nie myślałem. Poczuję się w jakimś obcym świecie i pozwoliłem się unosić, ciągnąć. Moje ciało zdawało się mięknąć, wiotczeć, ugiąć się pod najlżejszym dotknięciem, rozluźniło wszystkie swoje sprzęgła, każdy mógł z nim robić, co chciał, jak z łachmanem.

- Jestem zmęczony – powiedziałem.
- Chodź najpierw coś zjeść. Cokolwiek.
- Przyjdę. Przyjdę później.

Woda ściekająca z dachu wyłobila dziurę w piasku podwórza. Słysząc było szmer: krople kapały po jednej na środek liścia laurowego, dygocącego w szczelinie między cegłami. Burza już przeszła. Teraz tylko lekki wiatr potrząsał raz po raz liśćmi granatu, strącając z nich gęsty deszcz drażący ziemię błyszczącymi kroplami, które w nią po chwili wsiąkały. Kury, nastroszone, jak gdyby obudzone ze snu, poruszały nagle skrzydłami i wychodziły na podwórze, dziobiąc pośpiesznie na prawo i lewo, połykając dżdżownice, które wyszły z ziemi po deszczu. Przebijające spoza chmur sionce zapalało błyski w kamieniach, zabarwiając wszystko kolorami tęczy, wypijając wodę z ziemi, igrało z wiatrem, powlekając blaskiem liście, z którymi igrał wiatr.

- Co robisz tyle czasu w wygodce, chłopcze?
- Nic, mammo.
- Jeżeli nie wyjdiesz zaraz, przyjdzie wąż i ugryzie cię.
- Tak, mammo.

Myślałem o tobie, Susano. O zielonych zboczach wzgórz. Kiedy puszczałyśmy latawce w porze wiatrów. Tam, w dole, słyszeliśmy wesoły gwar miasteczka, mieliśmy je u naszych stóp, tam, na szczycie wzgórza, kiedy uciekał nam z rąk konopny sznurek unoszony wiatrem. „Pomóż mi, Susano!” I czyjeś delikatne dłonie ścisnęły nasze ręce. „Złóżnij sznurek”.

Wiatr rozśmieszał nas, łączył spojrzenia naszych oczu, podczas gdy sznurek przemykał się między naszymi palcami, ścigając wiatr, aż wreszcie zrywał się z lekkim trzaskiem, jakby przecięty skrzydłem przelatującego ptaka. A tam, w górze, papierowy

ptak padał, zataczając kręgi, wlokąc swój postrzępiony ogon. gubiąc się w zielonych zaroślach.

Twoje wargi były wilgotne, jakby całowała je rosa.

– Mówiłam ci, żebyś wyszedł z wygodki, chłopcze.

– Tak, mamó. Już idę.

Wspominałem cię. Czas, kiedy byłaś tutaj i patrzyłaś na mnie swymi oczami koloru morskiej wody.

Podniósł wzrok i ujrzał matkę w drzwiach.

– Dlaczego tak długo nie wychodzisz? Co tu robisz?

– Myślę sobie.

– A nie możesz myśleć gdzie indziej? To niezdrowo tyle czasu spędzać w tym miejscu. Zresztą powinieneś się czymś zająć. Czemu nie pójdziesz do babci pomóc jej łuskać kukurydzę?

– Już idę, mamó. Już idę.

– Babciu, przyszedłem ci pomóc łuskać kukurydzę.

– Już kończymy, ale zaraz będzie podwieczorek. Gdzieś ty się podziewał? Szukaliśmy cię przez cały czas burzy.

– Byłem na drugim podwórku.

– A co robiłeś? Modliłeś się?

– Nie, babciu. Patrzyłem, jak deszcz pada.

Babcia przyglądała mi się tymi swoimi żółtoszarymi oczami, które zdawały się odgadywać, co tkwi wewnątrz człowieka.

– No więc chodź, oczyścimy młynek do czekolady.

O setki metrów stąd, ponad wszystkimi chmurami, daleko ponad wszystkim, jesteś ukryta ty, Susano. Ukryta w bezkresach Boga, za jego Boską Opatrznością, gdzie ja nie mogę dosięgnąć cię ani dostrzec i dokąd nie docierają moje słowa.

– Babciu, młynek jest popsuty, ma złamaną sprężynę.

– Ta Micaela używa go chyba do mielenia kamieni! Co za dziewczyna, nie wiadomo, jak do niej przemówić. Trudno, teraz już nie ma na to rady!

– Czemu nie kupimy drugiego? Ten już był taki stary, że i tak do niczego się nie nadawał.

– Słusznie. Tylko że po opłaceniu wszystkich kosztów pogrzebu twego dziadka i dziesięcin, któreśmy byli winni kościołowi, zostaliśmy bez grosza. Ale trzeba będzie się poświęcić i kupić nowy młynek. Dobrze byś zrobił, gdybyś wstąpił do doñi Inés Villalpando i poprosił o kredyt na paździenik. Zapłacimy jej po żniwach.

– Dobrze, babciu.

– A przy okazji, żeby już załatwić wszystko, powiedz jej, żeby nam pożyczyła sito i nożyce ogrodnicze. Krzaki tak wyrosły, że prawie wyłazą za płot. Gdybym miała mój dawny duży dom z wielkim okólnikiem, nie skarżyłabym się. Ale twój dziadek go zmarnował, kiedyśmy się sprowadzili tutaj. Wszystko wola Boża, nigdy nie może się dziać tak, jak by człowiek chciał. Powiedz doñi Inés, że po żniwach oddamy jej cały dług.

– Dobrze, babciu.

Były kolibry. To ich pora. Szum skrzydełek pośród krzaków jaśminu, sypiącego płatkami.

Przetrzęsnał skrytkę w ścianie pod ołtarzykiem Serca Jezusowego i znalazł dwadzieścia cztery centavos. Zostawił cztery, a zabrał dwadzieścia.

Przed wyjściem zatrzymała go matka:

– Dokąd idziesz?

– Do doñi Inés Villalpando, po nowy młynek. Nasz się złamał.

– Powiedz, żeby ci dała metr czarnej tafty, takiej jak ta, masz tu próbkę. Niech wpisze na nasz rachunek.

– Dobrze, mamó.

– A wracając, kup mi parę pastylek aspiryny. W doniczce na korytarzu znajdziesz pieniądze.

Znalazł jednego peso. Zostawił dwadzieścia centavos i zabrał całą monetę.

Teraz mam aż za dużo pieniędzy, starczy na wszystko, na co mi przyjdzie ochota – pomyślał.

– Pedro – wołano za nim – Pedro!

Ale on już nie słyszał. Był bardzo daleko.

Wieczorem znowu rozpadał się deszcz. Długo słuchał szmeru spływającej rynną wody; potem widocznie zasnął, bo gdy się obudził, słyszał już tylko drobny, nieprzerwany deszczyk. Szyby w oknie były zapocone, a po drugiej stronie krople spływały w grubych sznurach jak łyzy. „Patrzyłem na krople rozświetlone błyskawicami i każdy oddech był westchnieniem, a każda myśl – myślą o tobie, Susano!”

Zerwał się lekki wiatr. Usłyszał: „...Grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen”. Głos dochodził z wnętrza domu, gdzie kilka kobiet kończyło odmawianie różańca. Podnosiły się z klęczek, zamykały ptaki w klatkach, rygłowały drzwi, gasiły światła.

Pozostawało tylko światło księżycy i bębnienie deszczu, jak szczęk kajdan.

– Dlaczego nie przyszedłeś na różaniec? Odprawiamy nowennę za twego dziadka.

Jego matka stała w progu drzwi ze świecą w ręku. Jej cień sięgał stropu, długi, rozpostarty. Belki stropu zwracały go po kawałku, pocięty na części.

– Smutno mi – powiedział.

Wtedy się odwróciła. Zdmuchnęła płomień świecy. Zamknęła drzwi i otworzyła upusty łez. Słysząc było jej łkania pomieszane z odgłosem deszczu.

Zegar kościelny wybijał godziny, jedną po drugiej, jak gdyby skurczył się czas.

– Otóż tak, niewiele brakowało, a byłabym twoją matką. Czy ona nigdy z tobą o tym nie rozmawiała?

– Nie. Mówiła mi same dobre rzeczy. O pani dowiedziałem się od mulnika, który mnie tu przyprowadził, niejakiego Abundia.

– Poczciwy Abundio! Więc jeszcze mnie pamięta? Dawałam mu napiwki za każdego pasażera, którego skierował do mojej oberży. I obojgu dobrze nam się wiodło. Teraz, niestety, czasy się zmieniły, bo odkąd wszystko tu zbiedniało, nikt już do nas nie przyjeżdża. Więc to on ci polecił, żebyś zobaczył się ze mną?

– Polecił mi pani poszukać.

– Powinnam mu być za to wdzięczna. Zawsze był z niego porządny człowiek, bardzo skrupulatny. To on rozwoził nam pocztę i zajmował się tym jeszcze nawet po tym wypadku, kiedy już ogłuchł. Pamiętam ten dzień, kiedy go spotkało nieszczęście. Wszyscyśmy się wzruszyli, bo wszyscy go lubiliśmy. Przynosił i zabierał nasze listy. Nam opowiadał, co słyszał tam, na drugim końcu świata, a im na pewno opowiadał o nas. Wielki był z niego gaduła. Później już nie. Przestał mówić. Uważał, że nie ma sensu mówić rzeczy, których nie słyszy, które nie mają dla niego żadnego dźwięku, że nie sprawia mu to żadnej przyjemności. Wszystko dlatego, że wybuchła tuż przy jego głowie jedna z tych olbrzymich petard, których się tu używa do wypłaszania węży wodnych. Od tego czasu zamilkł, chociaż nie był niemy. Ale poczciwość się w nim od tego nie skończyła, nie przestał być porządny.

– Ten, o którym mówię, słyszał zupełnie dobrze.

– Widać to nie on. Zresztą Abundio już nie żyje. Z pewnością musiał umrzeć dawno

temu. Rozumiesz? Toteż to nie może być on.

– Zgadzam się z panią.

– No więc, wracając do twojej matki, mówiła ci, że...

Nie przestając słuchać, zacząłem się przyglądać kobiecie, którą miałem przed sobą. Pomyślałem, że musiała przeżyć ciężkie lata. Jej twarz stała się przezroczyta, jakby zabrakło w niej krwi, a ręce były zwiędłe i pocięte zmarszczkami. Oczu nie było widać. Miała na sobie białą suknię, bardzo staroświecką, przeładowaną falbanami, a na szyi nawleczony na sznurek medalik z wizerunkiem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i z napisem: „Ucieczka Grzesznych”.

– ... Ten człowiek, o którym ci mówię, ujeżdżał konie w Media Luna. Powiadał, że się nazywa Inocencio Osorio, ale wszyscy przezywaliśmy go Linoskoczkiem, bo był bardzo zwinny i wspaniale skakał. Mój kum, Pedro, mówił, że ten człowiek został przez Boga specjalnie stworzony do poskramiania źrebaków. Co prawda, miał jeszcze inną specjalność: umiał przywoływać sny. To był jego zawód prawdziwy. A twoją matkę schwytał w sidła, jak przedtem wiele innych. Mnie samą, między innymi. Pewnego ranka, kiedy czułam się chora, przyszedł i powiedział: „Muszę ci wyregulować puls, to ci przyniesie ulgę”. A wszystko polegało na tym, że miętosił dziewczynę, którą niby to przychodził leczyć: najpierw otwierał jej zaciśnięte palce, potem dłonie i ramiona, a w końcu zabierał się do nóg, na zimno, tak że po jakimś czasie obojgu robiło się gorąco. I nie przerywając tych karesów, jednocześnie przepowiadał człowiekowi przyszłość. Wpadał w trans, przewracał oczami, przywoływał swoje czary i zaklęcia, opryskiwał człowieka śliną, jak Cyganie. Czasem zrzucał z siebie wszystko i zostawał nago, jak go Pan Bóg stworzył, mówił, że to się nam podoba. I czasami mu się udawało, próbował na tyle sposobów, że w końcu musiał utrafić.

„Tak czy owak ten Osorio przepowiedział twojej matce, kiedy do niej poszedł, że »tej nocy nie powinna przytulać się do żadnego mężczyzny, bo księżyc jest zły«,».

„Dolores przybiegła do mnie bardzo zakłopotana i powiedziała, że nie może. Że po prostu nie może położyć się do łóżka z Pedrem Páramo. To miała być jej noc poślubna. A ja, tak jak przed tobą stoję, starałam się ją przekonać, żeby nie wierzyła temu Osoriowi, który poza tym był oszustem kutym na cztery nogi”.

„Nie mogę – powiedziała mi. – Idź ty zamiast mnie. On nie pozna”.

„Oczywiście, byłam o wiele młodsza od niej. I trochę mniej smagła niż ona. Ale tego po ciemku nie można zauważyć”.

„Nie może być, Dolores, musisz iść sama”.

„Zrób to dla mnie. Odwdzięczę ci się z nawiązką”.

Twoja matka była w tym czasie dziewczyneczką o pokornych oczach. Jeśli było coś

ładnego w twojej matce, to na pewno oczy. Umiały przekonywać.

„– Idź ty na moje miejsce” – prosiła.

I poszłam.

Wykorzystałam ciemność i jeszcze jedną rzecz, o której nie wiedziała twoja matka: to, że mnie także podobał się Pedro Páramo.

Położyłam się z nim do łóżka z przyjemnością, z ochotą. Przywarłam do jego ciała. Ale pijatyka z poprzedniego dnia odebrała mu siły, tak że przespał całą noc, chrapiąc jak zabity. Wszystko, co mogłam zrobić, to oplatać jego nogi moimi.

Nim się rozjaśniło, wstałam i poszłam do Dolores. Powiedziałam jej:

„– Teraz idź ty. To już drugi dzień”.

„– Co ci zrobił?” – spytała.

„– Jeszcze nie wiem” – odpowiedziałam.

Rok później urodziłeś się ty. Ale nie ze mnie, choć niewiele brakowało.

Może twoja matka nie opowiadała ci o tym ze wstydu.

... Zielone równiny. Widzieć, jak się wznosi i opada horyzont, jak falują na wietrze kłosa, widzieć ufryzowane deszczem popołudnie w burzy kędziorów. Barwa ziemi, zapach lucerny. Wioska, która pachnie miodem świeżo rozlanym...

Ona zawsze nienawidziła Pedra Páramo. „Doloritas! Kazałaś mi już przygotować śniadanie?” I twoja matka wstawiała przed świtem, zabierała się do pieczenia placków kukurydzianych. Koty budziły się od zapachu rozpalanego ognia. Krzątała się po całym domu i wszędzie biegło za nią mruczenie kotów. „Doña Doloritas!” Ile razy na dzień słyszała twoja matka to wołanie! „Doña Doloritas, to już wystygło. Tamto jest zupełnie nie do jedzenia”. Ile razy? A choć była przyzwyczajona do najcięższej doli, jej pokorne oczy z czasem stały się twarde.

... Nie czuć innych aromatów prócz kwiatu pomarańczy w łagodnym cieple czasu.

Wtedy zaczęła wzdychać.

„– Dlaczego wzdychasz, Doloritas?”

Byłam z nimi tego wieczora. Staliśmy pośrodku pola, patrząc na przelatujące stada drozdów. Samotny jastrząb kołysał się na niebie.

„– Dlaczego wzdychasz, Doloritas?”

„– Chciałabym być tym jastrzębiem, żeby polecieć tam, gdzie jest moja siostra”.

„– Nic prostszego, Doloritas. Możesz natychmiast odjechać do twojej siostry. Wracaj. Przygotuj swój bagaż”.

I twoja matka odjechała.

„– Do widzenia, don Pedro”.

„– Żegnaj, Doloritas”.

Odjechała z Media Luna na zawsze. Wiele miesięcy później pytałam o nią don Pedra.

„– Kochała swoją siostrę więcej niż mnie. Musi być teraz zadowolona. Zresztą miałem jej już dosyć. Ani myślę po nią posyłać, jeżeli o to pytasz”.

„– Ale z czego oni żyją?”

„– Niech Bóg się o nich troszczy”.

Za to zapomnienie, mój synu, każ sobie drogę zapłacić.

I tak, aż do tej chwili, kiedy mnie zawiadomiła, że przyjedziesz mnie odwiedzić, nigdy tu o niej nie słyszeliśmy.

– Tyle rzeczy się przez ten czas stało – powiedziałem. – Mieszkaliśmy w Colima, w domu ciotki Gertrudis, a ta często nam wymawiała, że nas utrzymuje. „Dlaczego nie wrócisz do męża?” – pytała moją matkę.

„– A czy on przysłał po mnie? Nie pojedę, póki mnie nie wezwie. Przyjechałam tu, bo chciałam cię zobaczyć. Dlatego, że cię kochałam. Dlatego jestem tutaj”.

„– Rozumiem. Ale już czas, żebyś odjechała”.

„– Gdyby to zależało ode mnie!”

Myślałem, że ta kobieta mnie słucha. Ale zauważyłem, że przechyla głowę, jakby nasłuchiwała jakiegoś dalekiego odgłosu. Potem rzekła:

– Kiedy nareszcie odpoczniesz?

Tego dnia, gdy odeszłaś, zrozumiałem, że już cię więcej nie zobaczę. Odchodziłaś w czerwonym blasku zachodu, zabarwiona krwawym zmierzchem nieba. Uśmiechałaś się. Zostawiałaś za sobą to miasteczko, o którym czysto mówiłaś: „Kocham je za ciebie, ale nienawidzę za wszystko inne, nawet za to, że się w nim urodziłam”. Myślałem: „Nie wróci, już nigdy nie wróci”.

– Co tu robisz o tej porze? Nie pracujesz?

– Nie, babciu. Rogelio kazał mi pilnować dzieciaka. Prowadzę go na spacer. To niełatwo pilnować dwóch rzeczy naraz: dzieciaka i telegrafu, kiedy on po całych dniach żłopie piwo i gra w bilard. A do tego jeszcze nic mi nie płaci.

– Nie jesteś tu po to, żeby zarabiać, tylko żeby się uczyć. Kiedy już będziesz coś

umiał, wtedy możesz wymagać. Na razie jesteś tylko pomocnikiem. Może jutro albo pojutrze ty będziesz rozkazywał. Ale do tego potrzebna cierpliwość, a przede wszystkim pokora. Jeżeli każą ci prowadzić dziecko na spacer, rób to, na miłość Boską. Musisz się z wszystkim godzić.

– Niech się godzą inni, babciu, ja tam się do tego nie nadaję.

– Och, te twoje dziwactwa! Żle skończysz, Pedro Páramo.

– Co się dzieje, doña Eduviges?

Potrząsnęła głową, jakby budziła się ze snu.

– To koń Miguela Páramo galopuje drogą do Media Luna.

– Więc mieszka jeszcze ktoś w Media Luna?

– Nie, tam nikt nie mieszka.

– A więc?

– Tylko koń biegnie i wraca. Oni dwaj są nierozłączni. Koń wybiega, szukając go wszędzie i wraca zawsze o tej godzinie. Może dręczą biedaka wyrzuty sumienia. Przecież nawet zwierzęta zdają sobie sprawę, kiedy popełniają zbrodnię, nie?

– Nie rozumiem. I nie słyszałem żadnego dźwięku, żadnego tętentu kopyt.

– Nie?

– Nie.

– Widać działa tu mój szósty zmysł. Dar zesłany mi od Boga, a może przekleństwo. Tylko ja wiem, ile wycierpiałam z tego powodu.

Milczała chwilę, potem dodała:

– Wszystko zaczęło się od Miguela Páramo, mego chrześniaka. Tylko ja wiedziałam, co się stało tej nocy, kiedy zginął. Leżałam już w łóżku, kiedy usłyszałam tętent jego konia, który biegł w kierunku Media Luna. Zdziwiłam się, bo nigdy nie wracał o tej godzinie, zawsze dopiero nad ranem. Jeździł do swojej dziewczyny, do miasteczka, które się nazywało Contla, dość daleko stąd. Ale tamtej nocy nie wrócił... Słyszysz teraz? Teraz słyhać bardzo wyraźnie. Wraca.

– Nie słyszę nic.

– Więc to tylko dla moich uszu... No dobrze, jak ci zaczęłam mówić, to, że nie wrócił, to tylko tak powiedziane. Nie ucichł jeszcze tętent jego konia, kiedy usłyszałam stukanie w moje okno. Kto wie, czy to nie było złudzenie. Tak czy owak coś mi kazało wstać i zobaczyć, kto to. I to był on, Miguel Páramo. Nie zdziwiłam się na jego widok, bo

w swoim czasie często u mnie nocował i sypiał ze mną, póki nie spotkał tamtej dziewczyny, która mu zawróciła głowę.

„– Co się stało? – spytałam Miguela Páramo. – Odprawiła cię z kwitkiem?

– Nie. Ona mnie wciąż kocha. Rzecz w tym, że nie mogę do niej trafić. Zginęła mi gdzieś ta wioska. Była gęsta mgła czy dym, czy nie wiem co, wiem tylko, że Contla nie istnieje. Przejechałem kilka mil dalej, według moich obliczeń, ale nic nie znalazłem. Przychodzę ci o tym opowiedzieć, bo ty mnie zrozumiesz. Gdybym to opowiedział innym z Comala, powiedzieliby, że zwariowałem. Zawsze mnie uważali za obłąkanego.

– Nie. Obłąkany, nie. Musisz być nieżywy. Przypomnij sobie, jak ci mówiono, że ten koń któregoś dnia cię zabije. Przypomnij sobie, Miguelu Páramo. Może wyprawiałeś jakieś brewerie, a to już co innego.

– Przeskoczyłem tylko przez to kamienne ogrodzenie, które niedawno polecił zbudować mój ojciec. Kazałem koniowi je przeskoczyć, żeby skrócić sobie drogę i nie zataczać tego koła, które trzeba teraz robić, żeby wyjechać na trakt. Wiem, że Colorado przeskoczył mur, potem jechałem galopem. Ale, jak ci powiadam, nie było widać nic, tylko dym i dym, jak okiem sięgnąć.

– Jutro twój ojciec będzie gryzł palce z bólu – powiedziałam. – Żal mi go. Teraz idź i odpoczywaj w pokoju, Miguel. Dziękuję ci, żeś przyszedł się ze mną pożegnać.

I zamknęłam okno.

Przed świtem nadbiegł chłopak z Media Luna i powiedział:

– Don Pedro prosi, żeby pani przyszła. *Niño* Miguel nie żyje. On błaga, żeby pani przyszła do jego domu.

– Wiem – odpowiedziałam. – Kazano ci płakać?

– Tak, don Fulgor kazał mi to powiedzieć z płaczem.

– Dobrze. Powiedz, że przyjdę. Dawno go przynieśli?

– Niecałe pół godziny temu. Gdyby go znaleźli wcześniej, może udałoby się go uratować. Chociaż doktor, który go obejrzał, mówi, że już od dawna był zimny. Dowiedzieliśmy się, bo Colorado wrócił sam i taki był niespokojny, że nikomu nie dał zasnąć. Pani wie, jak się kochali, on i koń, i teraz nawet widzi mi się, że zwierzę cierpi więcej niż don Pedro. Nie jadł, nie spał i tylko wciąż biega i biega w kółko. Jakby wiedział, co się stało. Jakby go coś gryzło w środku.

– Nie zapomnij zamknąć furtki, jak odejdiesz.

I chłopak z Media Luna odszedł.

Słyszałaś kiedy skargę umarłego? – zapytała.

- Nie, doña Eduviges.
- Tym lepiej dla ciebie”.

Krople z filtru kapią jedna za drugą. Słysząc, jak wypływa z kamienia jasna woda i spada do stągwi. Słyszy to. Słyszy odgłosy, szuranie stóp po ziemi, kroki powłóczące tam i z powrotem. Krople padają wciąż, bez ustanku. Stągiew jest już pełna, woda wylewa się za brzegi, spływa na mokrą ziemię.

Obudź się – mówią mu.

Poznaje dźwięk głosu. Próbuje odgadnąć, kto to jest, ale ciało staje się bezwładne i usypia, przytłoczone ciężarem snu. Czyjeś ręce rozpościerają koce, przykrywają go i pod ochroną ich ciepła ciało ukrywa się, szukając spokoju.

Obudź się – mówią znowu.

Głos potrząsa jego ramionami. Każe mu rozprostować ciało. Otwiera sklezione powieki. Słysząc krople wody spadające z destylatora do przepelnionej stągwi. Słysząc powłóczące kroki. I płacz. Wtedy usłyszał płacz. To go zbudziło. Cichy płacz, tak słaby, że może dlatego zdołał się przedrzeć przez gąszcz snu i dotrzeć do miejsca, gdzie się gnieźdzą nagle przebudzenia.

Wstał powoli i ujrzał twarz kobiety szlochającej, opartej o framugę drzwi w mrokach nocy.

– Dlaczego płaczesz, mamó? – spytał, bo gdy tylko postawił nogi na ziemi, rozpoznał twarz matki.

– Twój ojciec nie żyje – odpowiedziała.

I potem jakby rozluźniły się wszystkie śruby bólu, obróciła się wkoło raz i drugi, aż wreszcie jego ręce dosięgły jej ramion i zdołały uspokoić drganie jej ciała.

Przez drzwi widać było świt na niebie. Nie było gwiazd. Tylko niebo, ołowianoszare, jeszcze nie rozjaśnione zorzą. Światło bure, nie jakby miał zacząć się dzień, lecz jakby ledwie schodziła na ziemię noc.

Na zewnątrz, na podwórzu, kroki. Jakby krążącego patrolu. Stłumione odgłosy. A tutaj ta kobieta, stojąca w progu drzwi, zagrządzająca swoim ciałem drogę jutrzence, strzępy nieba przedzierające się poprzez mrok jej ramion i smugi światła wypełzające spod jej stóp; światło rozproszone, jakby ziemia pod nią zatopiona była we łzach. A potem łkanie. Znowu szloch cichy, lecz przenikliwy i ból przeszywający ciało wstrząsane jakby konwulsjami.

– Zabili twego ojca...

– A ciebie kto zabił, matko?

Jest powietrze i słońce, są obłoki. Tam, w górze, niebo błękitne, a dalej istnieją może piosenki, może lepsze głosy... jest nadzieja, jednym słowem, jest nadzieja dla nas, wbrew nam.

Ale nie dla ciebie, Miguela Páramo, który umarłeś bez przebaczenia i nie dostąpisz żadnej łaski.

Ojciec Rentería odwrócił się plecami do zwłok i zaczął odprawiać mszę. Spieszył się, by skończyć jak najprędzej, i wyszedł, nie udzielivszy końcowego błogosławieństwa ludziom, którzy zapełniali świątynię.

– Ojcze, prosimy o błogosławieństwo dla niego.

– Nie – powiedział, potrząsając głową z gestem odmowy. – Nie zrobię tego. To był zły człowiek i nie wejdzie do królestwa niebieskiego. Bóg wzięłby mi za złe, gdybym wstawił się za nim.

To mówiąc, usiłował powstrzymać drżenie rąk, żeby nie zdradziły jego wzburzenia. A jednak zrobił, czego żądali.

Ten zmarły ciężko ważył na wszystkich duszach. Leżał na katafalku pośrodku kościoła, w otoczeniu wspaniałych nowych świec, kwiatów. Jego ojciec stał za nim, sam, oczekując, aż skończy się ceremonia żałobna.

Ojciec Rentería przeszedł koło Pedra Páramo, starając się nie otrzeć o jego ramiona. Łagodnym gestem podniósł kropidło i pokropił trumnę wodą święconą, podczas gdy z jego ust wychodził szept, który mógł być modlitwą. Potem ukląkł i wszyscy uklękli wraz z nim.

– Miej miłosierdzie nad sługą Twoim, Panie.

– Niech odpoczywa w pokoju. Amen – odpowiedziały głosy. A gdy na nowo zaczął porywać go gniew, zobaczył, że wszyscy opuszczają kościół, wynosząc trumnę Miguela Páramo.

Pedro Páramo zbliżył się, ukląkł tuż obok niego.

– Wiem, żeście go nienawidzili, ojcze. I nie bez słuszności. Zabójstwo waszego brata, dokonane, jak powiadają ludzie, przez mojego syna. Sprawa waszej bratanicy Any, zgwałconej w waszym przekonaniu przez niego, liczne wypadki obrazy i nieuszanowania, jakie nieraz wam okazywał – to powody, które każdy uzna za słuszne. Ale teraz proszę zapomnieć o tym, ojcze. Proszę mu przebaczyć, tak jak Bóg może mu przebaczyć.

Położył na klęczniku garść złotych monet i wstał.

– Proszę to przyjąć jako jałmużnę na kościół.

Kościół był już pusty. Dwaj ludzie czekali w drzwiach na Pedra Páramo. Razem z

nim ruszyli za trumną, którą niosło na ramionach czterech nadzorców z Media Luna.

Ojciec Rentería zebrał monety po jednej i podszedł do ołtarza.

– To Twoje – powiedział. – On może kupić swoje zbawienie. Ty wiesz, czy to cena wystarczająca. Co do mnie, Panie, to chylę przed Tobą głowę, by prosić Cię o to, co sprawiedliwe czy też niesprawiedliwe, bo o wszystko wolno nam prosić... Ja proszę, byś go skazał na wieczne potępienie, Panie.

I zamknął drzwiczki skarbczyka. Wrócił do zakrystii, zaszył się w jakiś kąt i płakał tam z bólu i smutku, póki nie wyczerpały się łzy.

– Dobrze, Panie, wygrałeś – powiedział wreszcie.

Przy kolacji wypił swoją czekoladę jak co wieczór. Był spokojny.

– Anito, czy wiesz, kogo dziś pochowano?

– Nie, stryju.

– Pamiętasz Miguela Páramo?

– Tak, stryju.

– Więc to jego.

Ana schyliła głowę.

– Jesteś pewna, że to był on, prawda?

– Pewna nie, stryju. Nie widziałam jego twarzy. Dopadł mnie w nocy i po ciemku.

– W takim razie skąd wiedziałaś, że to był Miguel Páramo?

– Bo mi powiedział: „Jestem Miguel Páramo. Nie bój się, Ano”.

– Ale wiedziałaś, że to on jest zabójcą twego ojca, tak czy nie?

– Tak, stryju.

– Więc co zrobiłaś, żeby go oddalić?

– Nic nie zrobiłam.

Oboje milczeli przez chwilę. Wiatr cicho szeleścił liśćmi mirtów.

– Powiedział mi, że po to właśnie przychodzi: prosić mnie o przebaczenie. Żeby mu przebaczyła. Nie ruszając się z łóżka, powiedziałam mu: „Okno jest otwarte”. I wszedł. Objął mnie ramionami, jakby w ten sposób chciał prosić o przebaczenie za to, co zrobił. A ja się uśmiechnęłam do niego; myślałam o tym, czego mnie zawsze uczyłeś, stryju: że nie trzeba nikogo nienawidzić. Uśmiechnęłam się, żeby mu to powiedzieć. Ale potem pomyślałam, że on nie może zobaczyć tego uśmiechu, bo ja go nie widziałam, tak

czarna była noc. Czułam tylko, że leży na mnie i że zaczyna ze mną robić coś złego.

„Myślałam, że chce mnie zabić. Tak właśnie myślałam, stryju. I prawie przestałam myśleć, bo chciałam umrzeć, zanim on mnie zabije. Ale na pewno nie odważyłby się tego zrobić.

Zrozumiałam to, jak tylko otworzyłam oczy i ujrzałam światło poranku, które wkraadało się przez otwarte okno. Nim przyszła ta godzina, czułam, że przestałam istnieć”.

– Ale musisz mieć jakąś pewność. Głos. Nie poznałaś go po głosie?

– Nie poznałam go po niczym. Nigdy go przedtem nie widziałam i nie zobaczyłam go już potem. Nie mogłam, stryju.

– Ale wiedziałaś, kto to był?

– Tak. I czym był. Wiem, że teraz, jeśli to był on, musi przebywać na samym dnie piekieł. Bo o to modliłam się do świętych ze wszystkich sił duszy.

– Nie bądź tego taka pewna, moje dziecko. Kto wie, ilu ludzi modli się teraz o jego zbawienie. Ty jesteś jedyna. Jedna prośba przeciw tysiącom prośb. A wśród nich jest wiele gorętszych niż twoja, jak chociażby prośby jego ojca.

Chciał jej powiedzieć: „Zresztą ja mu przebaczyłem”. Ale tylko to pomyślał. Lepiej było nie jątrzyć ran w duszy tej dziewczyny. Wziął ją za rękę i rzekł:

– Dziękujemy Bogu, Panu naszemu, za to, że zabrał go z tej ziemi, na której tyle zła wyrządził, nawet choćby teraz był w Niebie.

Koń przebiegł galopem miejsce, gdzie bity trakt krzyżuje się z drogą do Contla. Nikt go nie widział. Ale pewna kobieta, która czekała przy rogatkach miasteczka, opowiadała, że widziała konia biegnącego i zginającego nogi tak, jakby za chwilę miał upaść. Poznała gniadosza Miguela Páramo. I nawet pomyślała: „To zwierzę rozbije sobie łeb”. Potem widziała, jak koń prostuje ciało i nie zwalniając tempa, biegnie dalej, z szyją odrzuconą w tył, jakby przestraszony czymś, co zostawił za sobą.

Te pogłoski dotarły do Media Luna wieczorem, w dzień pogrzebu, kiedy ludzie odpoczywali po długiej drodze na cmentarz.

Gawędzili, jak gawędzi się wszędzie przed pójściem spać.

– No, umordowałem się dziś – mówił Terencio Lubianes. – Ciężko było dźwigać tego nieboszczyka. Jeszcze dotychczas bolą mnie ramiona.

– Mnie też – powiedział jego brat Ubillado. – A jeszcze gorzej nogi. Bo też stary żądał, żebyśmy wszyscy byli w butach. Myślałby kto, że jakie święto, nie?

– A co ja mam powiedzieć? Zdaje się, że umarł bardzo w porę.

Po chwili nadeszły wieści z Contla. Przywiózł je ostatni woźnica.

– Mówią, że tam błędzi jego dusza. Widzieli ją, jak stukała do okna jednej małej. Całkiem tak samo jak on. W skórzanych spodniach i w pełnym rynsztunku.

– Myślisz, że don Pedro, z tą furją, co go ponosi, pozwoliłby swemu synowi dalej uganiać się za spódnicami jak za życia? Wyobrażam sobie, co by było, jakby się dowiedział: „Dość – powiedziałby – ty już nie żyjesz. Zostaw to dla nas”. A jakby go tam zobaczył, załóżę się, że kazałby go odstawić z powrotem na cmentarz.

– Masz rację, Izajaszu. Stary nie bawi się w ceregiele.

Woźnica wzruszył ramionami:

– Za co kupilem, za to sprzedaję – rzekł, ruszając w dalszą drogę.

Gwiazdy uciekały z nieba migocące i spłoszone. Spadały jedna po drugiej, jakby z nieba spływał nieustający deszcz światła.

– Spójrzcie tylko – odezwał się Terencio – co za korowody i pląsy! Jakiś festyn urządzili chyba tam w górze.

– Wyprawiają stypę Miguelita – wtrącił Jesús.

– Czy to aby nie zły znak?

– Dla kogo?

– Może twoja siostra za nim wzdycha.

– Do kogo to mówisz?

– Do ciebie.

– Lepiej chodźmy już, chłopcy. Zmachaliśmy się dzisiaj porządnie, a jutro trzeba rano wstać.

I rozplłynęli się jak cienie.

Gwiazdy uciekały z nieba migocące i spłoszone. Światła w Comala gasły.

Wtedy niebo owładnęło nocą.

Ojciec Rentería przewracał się na łóżku, nie mogąc zasnąć.

Wszystko, co się tu dzieje, to moja wina – mówił sobie. – Lęk, żeby nie obrazić tych, co mi dają utrzymanie. Bo to prawda: to oni mnie utrzymują. Z biednych nie mam nic: modlitwami brzucha nie napełnisz. Tak było przez cały czas. I oto skutki. Moja wina. Zdradziłem tych, co mnie kochają i wierzą we mnie, i szukają mnie, żebym wstawił się za

nimi u Boga. Ale cóż zyskali swoją wiarą? Łaski niebieskie? Czy oczyszczenie duszy? I po cóż im oczyszczać dusze, jeśli w ostatniej chwili... Jeszcze mam przed oczyma, spojrzenie Marii Dyada, kiedy przysłała mnie prosić, żebym ratował przed piekłem jej siostrę Eduviges.

– Moja siostra zawsze służyła swoim bliźnim. Dała im wszystko, co miała. Dała im nawet syna, wszystkim. Postawiła go naprzeciw nich, żeby ktoś go uznał za swego, ale nikt nie chciał. Wtedy im powiedziała: „W takim razie ja będę mu ojcem, chociaż tak się stało, że jestem jego matką”. Nadużywali jej gościny, wszystko przez tę jej dobroć, która nie chciała nikogo urazić i nikogo skrzywdzić.

– Ale ona popełniła samobójstwo. Targnęła się na własne życie wbrew woli Boga.

– Nie miała innej drogi. Do tego także popchnęła ją dobroć.

– Zbłądziła w ostatniej chwili. Tak właśnie jej powiedziałem: w ostatniej chwili. Tyle skarbów zgromadzonych dla zbawienia duszy i zaprzepaścić to wszystko w jednym momencie!

– Ależ ona ich nie straciła. Umarła wśród cierpienia. A cierpienie... Mówił nam ksiądz coś o cierpieniu, już sobie nie przypominam... Ona odeszła właśnie przez to cierpienie. Umarła pośród krwi, co ją zalewała. Dotychczas widzę skurcz bólu w jej twarzy. Nigdy żadna twarz ludzka nie wydawała się smutniejsza.

– Może, gdyby dużo się za nią modlić...

– Modlimy się dużo, ojczu.

– Mówię, że może, dzięki mszom gregoriańskim... Ale do tego musimy mieć pomoc. Trzeba by posłać po księży. A to kosztuje dużo pieniędzy.

Stała tam naprzeciw, Maria Dyada, biedna kobieta z gromadką dzieci, wpatrując się we mnie.

– Nie mam pieniędzy. Ksiądz wie o tym, ojczu.

– Zostawmy wszystko, jak jest. Ufajmy Bogu.

– Tak, ojczu.

Dlaczego to spojrzenie miało tyle odwagi w obliczu rezygnacji? Cóż mu szkodziło przebaczyć, skoro tak łatwo było powiedzieć jedno słowo czy dwa, czy trzy, jeśli były one potrzebne do zbawienia duszy? Cóż on wie o niebie i piekle? A jednak on, zagubiony w zabitej desce miasteczka bez nazwy, znał przecież tych, którzy zasłużyli sobie na niebo. Miał katalog. Zaczął w myśli robić przegląd świętych z panteonu katolickiego, zaczynając od tych, których czczono tego dnia: święta Nunilona, dziewica i męczenniczka; Anercjusz, biskup; święta Salomea, wdowa; Alodia lub Elodia i Nulina, dziewice; Córdula i Donato. Wyliczając dalej, zaczynał już drzemać, gdy nagle ocknął się i usiadł na łóżku: „Przyjmuje

defiladę świętych, jakbym patrzył na skaczące kozy”.

Wyszedł za drzwi i spojrzął na niebo. Ciągłe deszcz gwiazd. Wolałby widzieć niebo spokojniejsze. Słyszał było pianie kogutów. Noc otulała całą ziemię. Ziemię, tę dolinę łez.

– Tym lepiej, mój synu. Tym lepiej – powiedziała mi Eduviges Dyada.

Noc była już późna. Lampa, która paliła się w kącie, zaczęła przygasać; potem zamrugła i zgasła zupełnie.

Usłyszałem, że kobieta wstaje, i pomyślałem, że idzie po nowe światło. Jej kroki oddalały się. Czekałem.

Minął kwadrans i widząc, że nie wraca, podniosłem się także. Szedłem ostrożnie, macając w ciemności, póki nie znalazłem się w moim pokoju. Tam usiadłem na podłodze, oczekując snu.

Spałem z przerwami.

W czasie jednej z przerw usłyszałem wołanie. Był to krzyk przeciągły, niby wrzask pijaka: „Aj, życie, cóżeś ty warte! Nie zasługujesz na to, żeby mnie zachować”.

Zerwałem się na nogi, bo krzyk zabrzmiał tuż przy moich uszach. Mógł dochodzić z ulicy, ale ja usłyszałem go tutaj, jakby pełzał po ścianach mego pokoju. W chwili gdy się zbudziłem, panowała zupełna cisza. Słyszał było tylko, jak sypie się drewno toczone przez termity, i odgłosy ciszy.

Nie, nie sposób było zmierzyć głębokości ciszy, jaką stworzył ten okrzyk. Jak gdyby powietrze nad ziemią stało się próżnią. Żadnego dźwięku ani oddechu, ani bicia serca. Jakby zatrzymał się nawet szept sumienia. A gdy skończyła się pauza i zasnąłem znowu, krzyk powrócił i długą chwilę słyszało się: „Dajcie mi chociaż prawo kopać nogami w powietrzu, jak wisielcom”.

Wtedy drzwi otworzyły się na oścież.

– Czy to pani, doña Eduviges? – spytałem. – Co tu się dzieje? Przestraszyła się pani?

– Nie nazywam się Eduviges. Jestem Damiana. Dowiedziałam się, że jesteś tutaj, i przyszedłam cię odwiedzić. Chcę ci zaproponować nocleg w moim domu. Tam będziesz miał gdzie odpocząć.

– Damiana Cisneros? Czy pani mieszkała kiedyś w Media Luna?

– Tam mieszkam. Dlatego tak późno przychodzę.

– Moja matka opowiadała mi o jakiejś Damianie, która mnie nosiła na rękach, kiedy

się urodziłem. Więc to pani?

– Tak, to ja. Znam cię od chwili, kiedy otworzyłeś oczy.

– Pójdę z panią. Tutaj te krzyki nie dają mi spać. Nie słyszała pani, co się tu działo? Jakby kogoś zarzynali. Nie słyszała pani przed chwilą?

– Może to echo zamknięte w tych ścianach. W tej izbie powieszono Toribia Aldrete, już wiele lat temu. Potem zamknięto na głucho te drzwi, dopóki nie został z niego tylko szkielet. Nie rozumiem, jak mogłeś tu wejść, kiedy nie ma już klucza od tych drzwi.

– Doña Eduviges mi otworzyła. Powiedziała, że to jedyny pokój, jaki mi może zaoferować.

– Eduviges Dyada?

– Tak.

– Biedna Eduviges! Pewnie dotychczas jeszcze pokutuje.

„Ja, Fulgor Sedano, lat 54, kawaler, pełniący funkcję administratora posiadłości, upoważniony do wytaczania i prowadzenia procesów, z prawa i z tytułu mego stanowiska oświadczam, co następuje...”

Tak rozpoczynał się akt oskarżenia przeciwko Toribiowi Aldrete. A zakończenie brzmiało: „Wnoszę oskarżenie o bezprawne użytkownictwo ziemi”.

– A pan wciąż pełen energii i wigoru, don Fulgor. Aż rozsadza pana od wewnątrz! Widać, że pan wiele może. I to nie przez to poparcie, jakie pan ma za sobą, ale sam przez się.

Przypominał sobie. To była pierwsza rzecz, jaką mu powiedział Aldrete, kiedy obaj zaczęli popijać, żeby „uczcić” protokół.

– Tego papierka możemy użyć pan wie do czego, don Fulgor, bo na nic innego się nie przyda. O tym wie pan bardzo dobrze. Tak czy owak, co się pana tyczy, to spełniłeś pan, co panu kazano, a mnie spadł kamień z serca, bo przedtem gryzło mnie to poważnie, nie ma co ukrywać. Teraz wiem, gdzie jest pies pogrzebany, i śmiać mi się chce. A więc „bezprawne użytkownictwo”. Pański pryncypał powinien się wstydzić swojego nieuctwa.

Przypominał sobie. Znajdowali się w oberży Eduviges Dyada. I nawet ją zapytał:

– Słuchaj no, Viges, możesz mi dać pokój naróżny?

– Jak pan sobie życzy, don Fulgor, jeśli pan chce, może pan zająć wszystkie. Czy pańscy ludzie zostaną tu na noc?

– Nie, tylko jeden. Nie kłopotcz się o nas i idź spać. Zostaw nam tylko klucz.

– No więc tak jak panu mówię, don Fulgor – powiedział Toribio Aldrete. – Dla pana jestem z całym szacunkiem i nie mam pretensji. Ale ten łobuz, pański mocodawca, zalał mi sadła za skórę.

Przypominał sobie. To były ostatnie słowa, jakie usłyszał od niego jako od człowieka przy zdrowych zmysłach. Potem zachowywał się jak tchórz, krzyczał i lamentował: „I jeszcze mówią, że prawo było za mną!”.

Zastukał rączką bata w drzwi domu Pedra Páramo. Myślą powrócił do tego dnia, kiedy zrobił to po raz pierwszy, dwa tygodnie temu. Odczekał dobrą chwilę, tak samo jak musiał czekać za pierwszym razem. Spojrzał także, tak samo jak wtedy, na czarną kokardę zawieszoną nad drzwiami. Ale nie powiedział sobie: „Aha! Powiesili jedną nad drugą, ta pierwsza już spłowiła, ta druga błyszczycy, jakby była z jedwabiu, choć to tylko pofarbowana szmata”.

Za pierwszym razem czekał, póki nie opanowała go myśl, że w tym domu już nikt nie mieszka. I zamierzał odejść, gdy w drzwiach ukazała się postać Pedra Páramo.

– Wejdz, Fulgor.

Widzieli się po raz drugi w życiu. Za pierwszym razem tylko on go widział, bo Pedrito ledwie się był narodził. No i teraz. Prawie można było powiedzieć, że to ich pierwsze spotkanie. A wydawało się, że tamten traktuje go jak rówieśnika. Coś podobnego! Szedł za nim wielkimi krokami, uderzając się batem po nogach. „Wkrótce się dowie, że ja wiem. Dowie się. Po to tu przyszedłem”.

– Usiądź sobie, Fulgor. Tu porozmawiamy spokojnie.

Byli w zagrodzie dla bydła. Pedro Páramo oparł się o żłób i czekał.

– Czemu nie usiądziesz?

– Wolę stać, Pedro.

– Jak chcesz. Ale zwracać się masz do mnie „don Pedro”.

Kim był ten chłopak, żeby go traktować w ten sposób? Nawet jego ojciec, Lucas Páramo, nie pozwalał sobie na to. A nagle ten, chociaż jego noga nie powstała nigdy w Media Luna i nie znał pracy na roli nawet ze słyszenia, zwracał się do niego jak do najemnika. Cóż to ma znaczyć?

– Jak wyglądają interesy?

Zrozumiał, że nadeszła jego szansa. „Teraz na mnie kolej” – pomyślał.

– Źle. Nic nie zostało. Sprzedaliśmy ostatnie sztuki bydła.

Zaczął wyjmować papiery, żeby mu wykazać, ile wynosi zadłużenie. I już otwierał

usta, by powiedzieć: „Jesteśmy winni...”, kiedy usłyszał:

– Komu jesteśmy winni? Nie obchodzi mnie ile, tylko komu.

Przedstawił mu listę nazwisk. I zakończył:

– Nie ma skąd wziąć na spłacenie. Tak to wygląda.

– A dlaczego?

– Bo pańska rodzina wszystko przepuściła. Żądali i żądali bez końca pieniędzy, nic nie zwracając. Za to trzeba drogo płacić. Już dawno mówiłem: „Daleko w ten sposób nie zajedziemy. To się musi skończyć”. I cóż, skończyło się. Chociaż nie brak tu takich, co chcą kupować ziemię. I dobrze płacą. Można by spłacić wszystkie obciążenia i jeszcze by coś zostało, choć co prawda bardzo kuso.

– Może ty sam?

– Jak pan może wierzyć w coś takiego!

– Ja wierzę nawet w diabła. Jutro przystąpimy do regulowania naszych rachunków. Zaczniemy od sióstr Preciado. Mówisz, że im jesteście winni najwięcej?

– Tak. I najmniej im zapłaciliśmy. Pański ojciec zawsze odkładał to na ostatek. Słyszałem, że jedna z nich, Matylda przeniosła się do miasta. Nie wiem, czy do Guadalajara, czy do Colima. A Lola, to znaczy doña Dolores, została jedyną wierzycielką. Wie pan, rancho Enmedia. To jej musimy spłacić.

– Jutro pójdziesz poprosić o rękę Loli.

– Jakże ma za mnie wyjść, kiedy już jestem stary?

– Poprosisz w moim imieniu i dla mnie. Ostatecznie brzydka nie jest. Powiedz, że jestem w niej do szaleństwa zakochany. I wybadaj, co ona o tym myśli. Po drodze wstąp do ojca Rentería i powiedz, żeby nam załatwił formalności. Ile masz pieniędzy?

– Żadnych, don Pedro.

– Więc mu obiecaj. Powiedz, że później mu się zapłaci. Jestem pewien, że nie będzie robił trudności. Załatw to zaraz jutro.

– A co z Aldrete?

– Co tu ma do rzeczy Aldrete? Mówiłeś mi o siostrach Preciado, o Guzmanach i o Fregosos. Skąd teraz nagle wytrzasnąłeś tego Aldrete?

– Sprawa wytyczenia granic. On już kazał ogrodzić. Prosi, żebyśmy postawili płot, którego brakuje, żeby to oddzielić.

– Zostaw to na później. Nie troszcz się teraz o płot. Żadnych płotów. Ziemi się nie dzieli. Pomyśl o tym, Fulgor, ale jemu nic nie mów. Na razie załatw z Lolą. Nie chcesz

usiąść?

– Usiądę, don Pedro. Słowo daję, przyjemnie z panem mieć do czynienia.

– Powiesz Loli wszystko, co trzeba powiedzieć, i dodasz, że ją kocham. To najważniejsze. Słowo daję, Sedano, że ona mi się podoba. Ma ładne oczy, wiesz? Pójdiesz tam jutro wczesnym rankiem. Oszczędzam ci pracy administracyjnej. Zapomnij o Media Luna.

Gdzie, u diabła, ten chłopak tak się wykształcił? – myślał Fulgor Sedano w drodze powrotnej do Media Luna. – Nie spodziewałem się po nim niczego. „Żadnej pociechy z niego nie ma! – mówił o nim nieboszczyk don Lucas. – Wałkoń i niedołęga”. Przyznawałem mu rację. „Kiedy umrę, poszukaj sobie innej pracy, Fulgor”. „Tak, don Lucas!” „I pomyśl, Fulgor, że zamierzałem posłać go do seminarium, żeby spróbować, czy przynajmniej w ten sposób potrafi zarobić na chleb i utrzymać matkę, kiedy mnie zabraknie. Ale nawet na to nie może się zdecydować”. „Zasłużył pan na coś lepszego, don Lucas”. „Nie liczę na niego ani trochę, do niczego się nie nadaje, nie będzie mi podporą na starość. Nie udał mi się, cóż chcesz, Fulgor”. „Tak, to naprawdę szkoda, don Lucas”.

A teraz coś podobnego! Gdyby nie to, że się tak przywiązałem do tej ziemi, nawet bym do niego nie poszedł. Ale lubię te pola, te moje wzgórza, przy których się tyle napracowałem i które dają z siebie coraz więcej... Kochana ziemia, ta Media Luna... I to wszystko, co do niej przylega. „Chodź no tu, folwarczku Enmedia, chodź”. Już widział tamto ranczo przyłączone do Media Luna, już tu było. Co to znaczy kobieta, mimo wszystko! Co to, to prawda. I uderzył się batem po nogach, wychodząc przez główną bramę hacjendy.

Łatwo mu było dogadać się z Dolores. Nawet zaświeciły jej oczy i zmieniła się twarz.

– Przepraszam, że się czerwienię, don Fulgor. Nie myślałam, że don Pedro w ogóle zwrócił na mnie uwagę.

– Nie śpi po nocach, wciąż myśli o pani.

– Ale przecież ma w czym wybierać! Nie brak ładnych dziewcząt w Comala. Co też pomyśla, jak się dowiedzą!

– On myśli tylko o pani, Dolores. O nikim więcej.

– Pan tak mówi, że aż mnie ciarki przechodzą, don Fulgor. Nigdy bym sobie tego nie wyobrażała!

– Bo to człowiek bardzo powściągliwy i dyskretny. Don Lucas Páramo, świeć Panie nad jego duszą, mówił mu zawsze, że pani nie jest dla niego odpowiednią żoną. Toteż milczał, przez posłuszeństwo. Teraz, kiedy go nie ma, nie istnieje żadna przeszkoda. To

było pierwsze polecenie, jakie od niego otrzymałem, choć nawał pracy nie pozwolił mi go wypełnić wcześniej. Naznaczmy datę ślubu na pojutrze. Co pani na to?

– Czy to nie za prędko? Nie mam nic przygotowanego. Muszę zamówić wyprawę. Napiszę do siostry. Albo nie, wyślę do niej posłańca. Tak czy inaczej nie mogę być gotowa przed 8 kwietnia. Dzisiaj mamy pierwszy. Tak, najwcześniej na ósmego. Proszę mu powiedzieć, żeby parę dni na mnie zaczekał.

– On by chciał, żeby to było bodaj w tej chwili. Jeżeli chodzi o wyprawę, to bierzemy to na siebie. Nieboszczka matka don Pedra spodziewała się, że pani będzie nosić jej suknie. Jest taki zwyczaj w rodzinie.

– A prócz tego jest jeszcze inna przeszkoda. Sprawy kobiece, wie pan. Och, jak mi wstyd mówić o tym przed panem, don Fulgor. Tak mnie pan zaskoczył tym wszystkim! Akurat przyszedł mój czas. Och, co za wstyd!

– No i co z tego? W małżeństwie nie chodzi o żaden czas. Chodzi o to, żeby się kochać. Byle była ochota, wszystko inne fraszka.

– Ależ pan mnie nie rozumie, don Fulgor.

– Rozumiem. Ślub będzie pojutrze.

I zostawił ją tak, z ramionami otwartymi w błagalnym geście, proszącą o osiem dni zwłoki, tylko osiem dni!

Żebym tylko nie zapomniał powiedzieć don Pedrowi – o, to chytra sztuka, ten nasz pan, nie ma co! – żeby nie omieszkał zawiadomić sędziego, że dobra są zapisane na wspólne imię. Pamiętaj, Fulgor, powiedzieć mu to zaraz jutro.

Dolores tymczasem pobiegła do kuchni i nastawiła gorącej wody. „Muszę coś zrobić, żeby to przyśpieszyć. Żeby przyszło już dzisiaj. W każdym razie swoje trzy dni musi potrwać. Nie ma rady. Och, mój Boże, co za szczęście! Dzięki Ci, Boże, że mi dałeś don Pedra! – I dodała: – Choćby później miał mnie znienawidzić!”

– Już jest załatwiona i bardzo chętna. Ksiądz proboszcz żąda sześćdziesięciu pesos za przymknięcie oczu na sprawę zapowiedzi. Powiedziałem mu, że w odpowiednim czasie je ogłosi. On mówi, że musi przybrać ołtarz i że stół w jego jadalni jest rozklekotany. Obiecałem, że przyślemy nowy stół. Mówi, że pan nigdy nie chodzi na mszę. Obiecałem, że pan pójdzie. I że od śmierci pańskiej babki ani razu nie otrzymał dziesięciny. Powiedziałem, żeby się o to nie martwił. Zgadza się.

– Nie wspomniałeś Dolores o jakiejś zaliczce?

– Nie, don Pedro. Nie śmiałem. Taka była uszczęśliwiona, że nie chciałem ostudzić jej zapału.

– Dziecko z ciebie.

To dopiero! Ja, dziecko! Z moją pięćdziesiątką piątką na karku. On ledwie zaczyna żyć, a mnie już niewiele brakuje do śmierci.

– Nie chciałem psuć jej radości.

– Mimo wszystko jesteś dzieckiem.

– Dobrze już, don Pedro.

– W przyszłym tygodniu zabierzesz się do sprawy Aldrete. I powiesz mu, żeby przesunął płot. Zajął tereny należące do Media Luna.

– Jego pomiary są dobre. Za to mogę ręczyć.

– Więc powiedz mu, że się pomylił. Że to było źle obliczone. Zwał płoty, jeżeli trzeba.

– A prawo?

– Jakie prawo, Fulgor? Odtąd my będziemy ustanawiać prawa. Masz tam wśród tych, co pracują w Media Luna, kogoś, kto w razie czego potrafi pchnąć nożem?

– Znajdzie się.

– Więc wyślij go z jakimś poleceniem do Aldrete. Sporządzisz protokół, oskarżając go o „bezprawne użytkownictwo” czy co ci tam przyjdzie do głowy. I przypomnij mu, że Lucas Páramo już nie żyje. Że ze mną trzeba zawrzeć nowe układy.

Niebo jeszcze było błękitne. Gdzieniegdzie małe chmurki, niewiele. Tam, w górze, przepływał nowy podmuch, lecz tu, na dole, stał się gorący.

Zastukał znów w drzwi rączką bata, tylko dla przypomnienia, bo wiedział, że otworzą mu dopiero wtedy, gdy tak się spodoba Pedrowi Páramo. Spojrzał w górę, na nadproże drzwi: „Ładnie wyglądają te czarne wstęgi, co to, to prawda”. W tej chwili otworzono mu i wszedł.

– Wejdz, Fulgor. Jak tam sprawa Toribia Aldrete, załatwiona?

– Zlikwidowana.

– Pozostaje nam sprawa rodziny Fregoso. Zostawmy to na razie. Teraz jestem bardzo zajęty moim „miodowym miesiącem”.

„– Tu wszędzie błędzą echa, pełno ich w całym mieście. Jakby były zamknięte pośród pustych ścian albo pod kamieniami. Kiedy idziesz, słyszysz za sobą jakieś kroki. Skrzywienie drzewa, śmiechy. Jakieś śmiechy bardzo już dawne, zmęczone. I zmęczone głosy,

wyczerpane od długiego używania. To wszystko słyszysz. Myślę, że przyjdzie dzień, kiedy wszystkie te dźwięki ucichną”.

To mówiła mi Damiana Cisneros, kiedy przechodziliśmy przez miasto.

„– W swoim czasie niemal co noc słyszałam gwar jakiejś zabawy. Odgłosy docierały aż do mnie, do Media Luna. Wyszłam, żeby przyjrzeć się tej zabawie, i zobaczyłam to samo, co widzimy teraz. Nic. Nikogo. Ulice tak puste, jak w tej chwili.

Potem przestałam to słyszeć. Bo nawet najweselsza zabawa w końcu nuży. Dlatego nie byłam zdziwiona, kiedy się to skończyło.

Tak – powtórzyła Damiana Cisneros – wszędzie tu błędzą echa. Ja się już przestałam bać. Słyszę wycie psów i nie uciszam ich. Pozwalam im wyć, bo wiem, że tu nie ma ani jednego psa. A w chłodniejsze dni wiatr niesie tumany liści z drzew, chociaż tutaj, jak widzisz, drzewa nie rosną. Były kiedyś, bo inaczej skąd by się wzięły te liście.

A najgorsze ze wszystkiego, kiedy słyszysz rozmowy. Głosy brzmią, jakby wychodziły z jakichś głębokich szczelin, a jednak tak wyraźnie, że je rozpoznajesz. Teraz, kiedy tu szłam, także słyszałam gawędę, gromadka ludzi czuwała przy zwłokach w jakimś domu. Zatrzymałam się, żeby odmówić »Ojczy nasz«. Stałam jeszcze, kiedy jakaś kobieta odłączyła się od innych i podeszła do mnie.

– Damiano! Módl się za mnie do Boga. Damiano!

Zdjęła szal z głowy i poznałam twarz mojej siostry Sixtyny.

– Co tu robisz? – spytałam.

Wtedy pobiegła się ukryć pośród innych kobiet.

Moja siostra Sixtina, trzeba ci wiedzieć, umarła, kiedy ja miałam dwanaście lat. Była najstarsza, a w rodzinie było nas szesnaścioro dzieci, toteż oblicz sobie, od ilu lat już nie żyje. I patrz, wciąż jeszcze wędruje po tym świecie. Dlatego nie przerażaj się, kiedy usłyszysz jakieś echa mniej dawne, Juanie Preciado”.

– Czy panią też zawiadomiła moja matka, że tu przyjdę?

– Nie. Ale skoro o tym mowa, co się dzieje z twoją matką?

– Nie żyje – powiedziałam.

– Już nie żyje? A na co umarła?

– Nie wiem na co. Może ze zgryzoty. Wzdychała często.

– To niedobrze. Każde westchnienie to jakby cząsteczka życia, która się od człowieka odrywa. A więc mówisz, że nie żyje?

– Tak. Chyba pani już o tym wiedziała?

– A skąd bym miała wiedzieć? Już od wielu lat nie mogę wiedzieć o niczym.

– Więc jak się to stało, że mnie pani spotkała?

– ...

– Czy pani żyje, Damiano? Proszę mi odpowiedzieć, Damiano!

I nagle znalazłem się sam na tych pustych ulicach. Przez otwarte szeroko okna bujne chwasty zaglądały do wnętrza pustych domów. Ogołoczone mury ukazywały popękane cegły.

– Damiano! – krzyknąłem. – Damiano Cisneros!!!

Odpowiedziało mi echo:... ano... eros!... ano... eros!...

Usłyszałem szczekanie psów, tak jakbym to ja je zbudził. Zobaczyłem człowieka przechodzącego na drugą stronę ulicy.

– Ej, ty! – zawołałem.

– Ej, ty! – odpowiedział mi moim własnym głosem. I tak blisko, jakby stały na rogu ulicy, usłyszałem rozmowę dwóch kobiet:

– Spójrz, kto tu idzie! Czy to nie Filoteo Aréchiga?

– To on. Udawaj, że go nie widzisz.

– Lepiej odejźmy. Jeżeli pójdzie za nami, to znaczy, że jest zakochany w jednej z nas. Jak myślisz, za którą z nas chodzi, za tobą czy za mną?

– Na pewno za tobą.

– A mnie się zdaje, że za tobą.

– Już stanął. Zatrzymał się na rogu.

– To znaczy, że nie szedł za żadną z nas.

– Ale gdyby się okazało, że ściga mnie albo ciebie... Jak myślisz, co by z tego było?

– Nie rób sobie złudzeń!

– Ostatecznie dobrze się stało. Mówią, że to on zajmuje się wynajdowaniem dziewcząt dla don Pedra Páramo. Widzisz, co nam groziło!

– Co takiego? Z tym staruchem nie chcę mieć nic do czynienia.

– Lepiej chodźmy stąd.

– Słusznie. Chodźmy.

Noc. Późno i po północy. I głosy:

– ... Przecież ci powiadam, że kukurydza w tym roku dobrze rośnie, będę miał z czego ci zapłacić. A nawet jakby zmarniała, miej trochę cierpliwości.

– Nic od ciebie nie wymagam. Wiesz, że byłem zawsze cierpliwy. Ale ziemia nie jest twoja. Pracujesz na cudzych polach. Skąd weźmiesz na to, żeby mi zapłacić?

– A kto mówi, że ziemia nie jest moja?

– Wszyscy wiedzą, żeś ją sprzedał Pedrowi Páramo.

– Na oczy nawet nie widziałem tego pana. Ziemia jest nadal moja. – Nigdy z nim nawet o tym nie rozmawiałem!

– To ty to mówisz. Ale inni twierdzą, że wszystko należy do niego.

– Niech przyjdą mi to powiedzieć w oczy!

– Wiesz co, Galileo, powiem ci, że osobiście nie mam nic przeciwko tobie. Ostatecznie jesteś mężem mojej siostry. I że jesteś dla niej dobry, w to nikt nie wątpi. Ale nie wmówisz mi, żeś nie sprzedał tej ziemi.

– Nikomu jej nigdy nie sprzedawałem.

– Ale ona należy do Pedra Páramo. On tak postanowił. Nie przychodził do ciebie don Fulgor?

– Nie.

– To na pewno przyjdzie jutro. A jak nie jutro, to w najbliższych dniach.

– Więc niech mnie zabije albo ja jego, ale nie dostanie mojej ziemi.

– *Requiescat in pace*, amen, mój szwagrze. Ale ja coś wątpię.

– Zobaczysz. Przekonasz się. O mnie się nie troszcz. Nie na próżno matka garbowała mi skórę, żeby zrobiła się jak rzemień.

– W takim razie do jutra. Powiedz Felicitas, że dziś wieczorem nie będę na kolacji. Nie byłoby mi przyjemnie opowiadać potem: „Byłem u niego poprzedniego wieczora...”.

– Zostawimy ci coś, na wypadek gdybyś się namyślił w ostatniej chwili.

Potem usłyszałem kroki oddalające się z brzękiem ostróg.

– Jutro o świcie pójdziesz ze mną, Chono. Muły mam przygotowane.

– A jak mego ojca zabije furia? Taki już jest stary! Nigdy bym sobie nie wybaczyła, że przeze mnie coś mu się stało. On nie ma nikogo oprócz mnie, nikt inny się nim nie zaj-

mie. Co ci się tak śpieszy, żeby mnie porwać? Cierpliwości, on i tak niedługo umrze.

– To samo mówiłaś mi rok temu. I nawet mi wyrzucałaś, że nie chcę ryzykować, kiedy ty już masz dosyć i nie możesz wytrzymać dłużej. Postarałem się o muły i wszystko już gotowe. Idziesz ze mną?

– Daj mi pomyśleć.

– Chono! Nawet nie wiesz, jak mi się podobasz. Nie mogę dłużej żyć bez ciebie. Musisz iść ze mną, nie masz wyboru.

– Daj mi się zastanowić. Zrozum... Musimy czekać, aż on umrze. Niewiele mu już brakuje. Wtedy pójdę z tobą i nie będziesz musiał mnie porywać.

– To także mówiłaś mi przed rokiem.

– No więc co z tego?

– To, że musiałem wynająć muły. I mam je. Czekam tylko na ciebie. Zostaw go, niech sam sobie radzi. Ty jesteś ładna dziewczyna. I młoda. Znajdzie się jakaś staruszka, żeby go pielęgnować. Nie brakuje tu miłosiernych dusz.

– Nie mogę.

– Możesz.

– Nie mogę. Przykro mi, nie rozumiesz? To przecież mój ojciec!

– Jeżeli tak, to nie ma o czym mówić. Pójdę do Juliany. Ta od dawna już do mnie wzdycha.

– Dobrze. Nie będę cię zatrzymywać.

– Nie chcesz mnie widzieć jutro?

– Nie chcę cię widzieć nigdy.

SZMERY. GŁOSY. SZEPTY. Dalekie piosenki.

*... Chusteczkę mi darowała,
żebym miał czym otrzeć łzy...*

Ton falsetu. Jakby śpiewały głosy kobiece.

Ujrzałem przejeżdżające drogą wozy. Woły sunęły powoli. Skrzyp żwiru pod kołami. Ludzie na wozach jakby drzemali.

... Co rano wszystkie domy trzęsą się od turkotu wozów. Nadjeżdżają ze wszystkich stron, naładowane saletrą, kukurydzą, paszą dla bydła. Koła skrzypią, że aż w domach

drżą okna, budzą ludzi. To godzina, w której otwierają się piece i pachnie świeżo upieczony chleb. A nagle grzmot może rozedrzeć niebo. Ni stąd, ni zowąd może spaść deszcz. Może przyjść wiosna. Tam. przywykniesz do rzeczy nagłych, mój synu.

Puste wózki, mielące jak w żarnach ciszę ulic. Gubiące się w dali, na ciemnych drogach nocy. I cienie. Echo cieni.

Pomyślałem, żeby wracać. Tam, wyżej, wyczuwałem szlak, którym tu przyszedłem, niby otwartą bliznę pośród czerni wzgórz.

Wtedy ktoś dotknął mego ramienia:

– Co pan tu robi?

– Przyszedłem szukać... – i miałem już powiedzieć, kogo, gdy nagle głos uwiązał mi w gardle. – Przyszedłem szukać mego ojca.

– Czemu pan nie wejdzie?

Wszedłem. Był to dom z zerwaną połową dachu. Dachówki rozsypane na podłodze. Dach na podłodze. A w drugiej połowie domu mężczyzna i kobieta.

– Czy jesteście żywi? – spytałem.

Kobieta uśmiechnęła się. Mężczyzna spojrzał na mnie surowo.

– Pijany – powiedział mężczyzna.

– Tylko przestraszony – powiedziała kobieta.

Była tam lampa naftowa. Było łóżko bambusowe i skrzynia, na której leżało jej ubranie. Bo była naga, jak ją Pan Bóg stworzył On także.

– Słyszeliśmy, że ktoś jęczy i tłucze głową w nasze szyby. To był pan. Co się panu stało?

– Stało mi się tyle rzeczy, że najlepiej chciałbym zasnąć.

– Myśmy już spali.

– No więc śpijmy.

Ranek tłumiał z wolna moje wspomnienia.

Od czasu do czasu słyszałem dźwięk słów i dostrzegałem różnicę. Bo słowa, które słyszałem dotychczas – wreszcie zdałem sobie z tego sprawę – nie miały żadnego dźwięku, nie dźwięczały i dawały się słyszeć bez dźwięku, jak te, które się słyszy we śnie.

– Kto to może być? – pytała kobieta.

– Kto go wie – odpowiadał mężczyzna.

– Skąd się tu wziął?

– Kto go wie.

– Zdaje się, że mówił coś o swoim ojcu.

– Tak, ja też słyszałem.

– Może zgubił drogę? Pamiętasz, kiedyś byli tu tacy, co mówili, że zabłądzili. Szukali jakiejś miejscowości, co się nazywa Los Confines, a tyś im powiedział, że nie wiesz, gdzie to jest.

– Tak, pamiętam, ale lepiej daj mi spać. Jeszcze do świtu daleko.

– Niedaleko. Właśnie dlatego do ciebie mówię, żebyś się obudził. Mówiłeś, żebym cię zbudziła przed świtem. Sam kazałeś. Wstawaj.

– A po co mam wstać?

– Nie wiem, po co. Wczoraj wieczorem powiedziałaś, żeby cię obudzić. Nie wytłumaczyłaś mi, po co.

– W takim razie daj mi spać. Słyszałaś, co powiedział tamten, jak przyszedł? Żebyśmy mu dali spać. Tylko tyle powiedział.

Jak przycichają głosy. Jakby ginęło ich echo, zdławione ciszą. Już nikt nic nie mówi. To sen. I po chwili znowu:

– Poruszył się. Zaraz się zbudzi. A jak na nas spojrzy, znowu zacznie pytać.

– O co może nas pytać?

– No, coś będzie chciał powiedzieć, nie?

– Zostaw go. Na pewno jest bardzo zmęczony.

– Tak myślisz?

– Bądźże już cicho, kobieto!

– Spójrz, rusza się. Widzisz, jak się wierci? Jakby go coś trzęsło w środku. Wiem, bo i mnie się to zdarzyło.

– Co ci się zdarzyło?

– To.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie mówiłabym, gdyby mi to jego przewracanie nie przypomniało tego, co ze mną było pierwszy raz, jak to zrobiłeś. Pamiętasz, jak mnie bolało i jak bardzo tego żałowałam?

– Ale czego?

– Jak się czułam, kiedy mi to zrobiłeś, bo choćbyś nie chciał, wiem, że to było złe.

– I dotychczas jeszcze o tym gadasz? Czemu nie śpisz i mnie nie dajesz spać?

– Chciałeś, żebym ci przypomniawsza. No to przypominam. Mój Boże, robię tylko, co mi kazałeś. No, wstawaj. Już czas, żebyś wstał.

– Zostaw mnie w spokoju, kobieto.

Zdawało się, że mężczyzna zasnął. Kobieta dalej mruzczała, ale bardzo cichutko.

– Chyba już musiało zaświtać, bo widać światło. Mogę dojrzeć stąd tego człowieka, a jeżeli go widzę, to znaczy, że już jest jasno. Zaraz się pokaże słońce. Pewnie, o tym nie ma co wątpić. Musi to być jakiś rzezimieszek. A daliśmy mu koc do przykrycia! Nie szkodzi, że tylko na jedną noc, aleśmy go tu ukryli. I to nam może przynieść nieszczęście... Patrzcie tylko, jak się wierci, jakby miejsca sobie nie mógł znaleźć, sumienie mu nie daje spokoju.

Wstawał dzień. Dzień rozpędza cienie. Rozprasza je. W pokoju czuć było ciepło uśpionych ciał. Przez moje półotwarte powieki wdzierawsza się smuga brzasku. Czuję światło. Słyszałem:

– Wierci się i wierci, niczym potępiona dusza. I z oczu niedobrze mu patrzy. Wstawaj, Donis. Spójrz na niego. Tarza się po podłodze, przewraca się to na jeden, to na drugi bok. Ślina mu cieknie z ust. Ten to chyba niejednego zabitego ma na sumieniu. A tyś się nawet na nim nie poznał.

– Pewnie jakiś biedaczyna. Zaśnijże już raz i daj mi nareszcie spać!

– A dlaczego mam spać, kiedy mi się nie chce?

– To wstań i odejdz, tak żeby cię nie było słychać.

– Dobrze. Pójdę rozpalić ogień w kuchni. A przechodząc, powiem temu włóczędze, żeby przyszedł się położyć koło ciebie na moim miejscu.

– Powiedz mu.

– Nie mogę. Bałabym się.

– No to idź do swojej roboty i zostaw nas w spokoju.

– Tak zrobię.

– To na co czekasz?

– Już idę.

Usłyszałem, że kobieta zsuwa się z łóżka. Jej bosc stopy dudniły na podłodze, nad moją głową. Otworzyłem i zamknąłem oczy.

Gdy się obudziłem, słońce już było wysoko i zbliżało się południe. Obok mnie stał

dzbanek z kawą. Próbowałem ją wypić. Pociągnąłem parę łyków.

– Więcej nie mamy. Musi nam pan wybaczyć. Wielka u nas bieda, wszystkiego brakuje.

Był to głos kobiety.

– Proszę się o mnie nie kłopotać – powiedziałem. – Jestem przyzwyczajony. Jak się można wydostać z tego miasta?

– Dokąd?

– Dokądkolwiek.

– Dróg jest wiele. Jedna prowadzi do Contla, druga stamtąd. Jest jeszcze jedna, biegnie przez góry. Ta, którą tu widać, nie wiem, dokąd prowadzi – wskazała ręką dziurę w suficie, w miejscu gdzie dach był zerwany. – I jedna tędy, ta, co przechodzi przez Media Luna. A jest jeszcze jedna, co przebija ziemię, i ta prowadzi dalej.

– Może to ta, którą tu przyszedłem.

– A dokąd pan idzie?

– Do Sayula.

– Mój ty Boże! Ja myślałam, że Sayula jest po tej stronie. Zawsze chciałam poznać to miasto. Mówią, że tam mieszka dużo ludzi, czy to prawda?

– Jak wszędzie.

– No pewnie. A u nas tak pusto. Chcielibyśmy poznać chociaż odrobinę życia.

– Dokąd poszedł pani mąż?

– To nie mój mąż. To brat, chociaż on nie chce, żeby o tym wiedziano. Pan pyta, dokąd poszedł? Pewnie poszukać tego cielaka, co uciekł i wałęsa się po lesie. Tak mi przynajmniej mówił.

– Od dawna tutaj mieszkacie?

– Od zawsze. Tu się urodziliśmy.

– Zналиście pewnie Dolores Preciado?

– Może on, Donis. Ja mało co wiem o ludziach. Nigdy nie wychodzę z domu. Kręcę się po tych kątach od wieków. No, może niezupełnie. Dopiero od czasu, kiedy on zrobił ze mnie swoją żonę... Od tego dnia żyję w zamknięciu, bo się boję, żeby mnie ludzie nie zobaczyli. On nie chce w to wierzyć, ale prawda, że wyglądam strasznie? – I przechyliła głowę w stronę, gdzie padało słońce. – Proszę się przyjrzeć mojej twarzy.

Twarz była pospolita i niczym nie zwracała uwagi.

– Ale czemu mam się przyjrzeć?

– Nie widzi pan piętna grzechu? Nie widzi pan tych sinych plam od góry do dołu? I to nie tylko na zewnątrz. Wewnątrz także pełno we mnie zgnilizny.

– Ale któż może to zobaczyć, kiedy nikogo tu nie ma? Przebiegłem całe miasto wzdłuż i wszerz i nie spotkałem nikogo.

– Tak się panu zdaje, ale jest jeszcze paru żywych. Czy Filomeno nie jest żywy? A Dorotea, Melquiades, stary Prudencio, może mi pan powie, że ci wszyscy nie żyją? Oni tylko nie wychodzą z domów. W dzień nie wiem, co robią, ale noce spędzają zamknięci w czterech ścianach. W nocy pełno tu strasydeł. Gdyby pan widział te tłumy dusz pokutujących, co spacerują swobodnie po ulicy. Jak tylko się ściemni, zaczynają wychodzić. A nikomu nie jest przyjemnie na to patrzeć. Tyłu ich jest, a nas tak mało, że nawet nie próbujemy modlić się o skrócenie ich pokuty. Nie wystarczyłoby naszych modlitw dla wszystkich. Co najwyżej dla każdego przypadłaby cząsteczka „Ojcze nasz”. Zresztą przeszkadzają nam nasze własne grzechy. Nikt z tych, co jeszcze pozostali przy życiu, nie żyje, jak Pan Bóg przykazał. Nikt nie może podnieść oczu, żeby ich co prędzej nie odwrócić, ze wstydu. A wstyd nie uleczy zła, tak przynajmniej mówił biskup, co tu przyjeżdżał parę lat temu na bierzmowanie. Poszłam wtedy do niego i wyznałam mu wszystko.

„– Na to nie ma rozgrzeszenia – powiedział.

– Wstyd mi.

– To nie jest lekarstwo.

– Proszę nam dać ślub.

– Odejdźcie.

Chciałam mu powiedzieć, że samo życie nas złączyło, zamykając nas tu jak bydło w stodole i stawiając jedno przy drugim. Byliśmy tu tak samotni jak na bezludnej wyspie. A w jakiś sposób trzeba było zaludnić miasto. Może będzie miał już kogo bierzmować, kiedy tu przyjedzie następnym razem.

– Rozłączcie się. Nic więcej nie można zrobić.

– Ale jak będziemy żyć?

– Jak ludzie, nie jak zwierzęta.

I odjechał na swoim mule, z surową twarzą, nie oglądając się w tył, jakby zostawiał za sobą obraz potępienia. Nigdy już więcej tu nie przyjechał. I dlatego pełno tu dusz pokutujących: nieustająca tułaczka tych, co umarli bez rozgrzeszenia i nigdy go w żaden sposób nie uzyskają, a już najmniej za naszą sprawą. O, już wraca. Słyszysz go pan?”

– Tak, słyszę.

– To on.

Otworzyły się drzwi.

– Co z cielakiem? – zapytała kobieta.

– Dzisiaj akurat się nie pokazał, ale poszedłem jego śladem i prawie już wiem, gdzie ma kryjówkę. Dzisiaj w nocy go złapię.

– Zostawisz mnie samą w nocy?

– Może być.

– Nie wytrzymam sama. Muszę cię mieć koło siebie. To jedyne godziny, kiedy czuję się spokojna. W nocy.

– Tej nocy pójdę gonić cielaka.

– Dowiedziałem się przed chwilą – wtrąciłem – że jesteście rodzeństwem.

– Dowiedział się pan przed chwilą? Ja już wiedziałem to wcześniej od pana. Toteż lepiej niech się pan w to nie miesza. My nie lubimy, kiedy o nas mówią.

– Powiedziałem to tylko dlatego, żebyście wiedzieli, że rozumiem. Nie dla innej przyczyny.

– Co pan rozumie?

Kobieta stanęła przy nim, wsparta o jego ramię, pytając wraz z nim:

– Co pan rozumie?

– Nic – powiedziałem. – Rozumiem coraz mniej. – I dodałem: – Chciałbym wrócić tam, skąd przyszedłem. Skorzystam, póki jeszcze jasno.

– Niech pan lepiej zaczeka – powiedział mężczyzna. – Zatrzymaj się pan do rana. Wkrótce się ściemni, a wszystkie drogi są tak zarośnięte, że trudno je dostrzec w gąszczu zielska. Mógłby pan zabłądzić. Jutro wyprowadzę pana na gościniec.

– Dobrze.

Przez dach otwarty na niebo zobaczyłem przelatujące stada lelków, tych ptaków, które latają o zmierzchu, zanim ciemność zamknie im drogi. Potem kilka obłoków, rozproszonych już przez wiatr, który przychodzi zabrać z sobą dzień. Później wyszła gwiazda wieczorna, a po niej księżyc.

Mężczyzny i kobiety nie było ze mną. Wyszli przez drzwi prowadzące na podwórze, a gdy wrócili, była już noc. Toteż nie wiedzieli, co się tu stało, kiedy oni znajdowali się poza domem.

A oto co się stało:

Z ulicy weszła do mieszkania jakaś kobieta. Była stara i chuda jak deska. Weszła i powiodła wokół izby okrągłymi oczyma. Może mnie nawet zobaczyła. Może pomyślała, że śpię. Podeszła prosto do łóżka i wyciągnęła spod niego kuferek. Przetrzęsła go i wyjęła jakieś prześcieradła, po czym wetknąwszy je pod pachę, wysunęła się z pokoju na palcach, jakby nie chcąc mnie obudzić.

Leżałem bez ruchu, wstrzymując oddech, usiłując patrzeć w inną stronę. Aż wreszcie udało mi się przekręcić głowę i skierować wzrok tam, gdzie gwiazda wieczorna połączyła się z księżycem.

– Proszę to wypić – usłyszałem.

Nie miałem odwagi odwrócić głowy.

– Proszę wypić. To panu dobrze zrobi. To napar z kwiatu pomarańczowego. Wiem, że się pan przestraszył, bo pan drży. Od tego przejdzie panu strach.

Poznałem te ręce i podniosłszy oczy, poznałem twarz. Mężczyzna, który stał za nią, spytał:

– Pan jest chory?

– Nie wiem. Widzę rzeczy i ludzi tam, gdzie wy pewnie nic nie widzicie. Była tu jakaś kobieta. Musieliście ją widzieć, jak wychodziła.

– Odejdź – powiedział do niej mężczyzna. – Zostaw go samego. To musi być mistyk.

– Musimy go położyć do łóżka. Spójrz, jak się trzęsie, na pewno ma gorączkę.

– Nie zważaj na niego. Tacy jak on doprowadzają się do takiego stanu po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. Znałem jednego w Media Luna, co udawał jasnowidza. Nie przewidział tylko tego, że umrze, kiedy jego pan odkryje szalbierstwo. Musi to być mistyk z tego gatunku. Tacy przez całe życie włóczą się od wsi do wsi, licząc na Opatrzność czuwającą nad tymi, co nie sieją i nie orzą. Ale tu nie spotka nawet takiego, co go nakarmi. Widzisz, jak się od razu przestał trząść. To dlatego, że słyszy, co mówimy.

Tak jak gdyby cofnął się czas. Zobaczyłem znowu gwiazdę obok księżyca. Rozpraszające się chmury. Stada lelków. A zaraz potem zmrok, jeszcze pełen światła.

Mury lśniące słońcem zachodu. Moje kroki dudniące po kamieniach. Mulnik, który mi powiedział: „Niech pan poszuka doñi Eduviges, jeżeli jeszcze żyje”.

Potem izba w ciemnościach. Kobieta pochrapująca obok mnie. Zauważyłem, że jej oddech jest nierówny, jak w półśnie lub raczej jakby nie spała jeszcze i tylko naśladowała odgłosy snu. Łóżko było z bambusowego drzewa, przykryte workami, które cuchnęły

uryną, jakby nigdy nie wynoszono ich na słońce, a poduszka z jakiegoś zgrzebnego gałgana wypchana była wiórami czy wełną, tak twardą albo też przepoconą, że stwardniała na drewno.

Tuż przy moich kolanach czułem gołe nogi kobiety, a jej oddech muskał moją twarz. Usiadłem na łóżku, opierając się o ścianę.

– Nie śpi pan? – zapytała.

– Nie mogę zasnąć. Spałem cały dzień. Gdzie pani brat?

– Wyszedł tu niedaleko. Słyszał pan przecież, dokąd miał iść. Może nie wróci na noc.

– A więc wyszedł mimo wszystko? Wbrew pani prośbom?

– Tak. I może wcale już nie wróci. Tak zaczęli wszyscy. Muszę iść tu, muszę iść tam, coraz dalej. Aż wreszcie odeszli tak daleko, że już nie wrócili. On zawsze starał się odejść i chyba teraz przyszła jego kolej. Może, nie mówiąc mi nic o tym, zostawił mnie z panem, żeby pan się mną opiekował. Skorzystał z okazji. To z tym gonieniem cielaka to tylko wymówka. Zobacz pan, że nie wróci.

Chciałem jej powiedzieć: „Wyjdę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, bo czuję mdłości”, ale powiedziałem:

– Niech się pani nie martwi. Wróci.

Kiedy wstałem, odezwała się znowu:

– Zostawiłam w kuchni coś do zjedzenia, na żarze. Bardzo niewiele, ale zawsze trochę zaspokoi głód.

Znalazłem kawałek suszonego mięsa i kilka placków kukurydzianych w popiele.

– Udało mi się to dostać dla pana – usłyszałem jej głos z łóżka. – Wymieniłam to z moją siostrą za dwa czyste prześcieradła, które przechowywałam od śmierci matki. Ona przyszła tu, żeby je zabrać. Nie chciałam tego mówić przy Donisie, ale to ona była tą starą kobietą, którą pan zobaczył i tak się przestraszył.

Czarne niebo, pełne gwiazd. A tuż przy księżycu gwiazda większa od innych.

– Nie słyszysz mnie? – spytałem cichutko.

A jej głos odpowiedział:

– Gdzie jesteś?

– Jestem tu, w twojej wsi. Razem z twoimi ludźmi. Nie widzisz mnie?

– Nie, synu, nie widzę.

Jej głos zdawał się wszystko ogarniać. Gubił się gdzieś za ziemią.

– Nie widzę cię.

Wróciłem pod tę połowę dachu, gdzie spała ta kobieta, i powiedziałem:

– Zostanę tu, w moim kącie. Łóżko jest równie twarde jak podłoga. Gdyby pani czego potrzebowała, proszę mnie obudzić.

Powiedziała mi:

– Donis nie wróci. Poznałam to po jego oczach. Czekał tylko, aż ktoś się tu zjawi, żeby odejść. Teraz ty się mną opiekujesz. A może nie chcesz się mną opiekować? Chodź tu i śpij ze mną.

– Tu mi zupełnie dobrze.

– Lepiej połóż się na łóżku. Tutaj pchły cię zjedzą.

Więc wstałem i położyłem się obok niej.

Przed samą północą obudziło mnie gorąco. I pot. Ciało tej kobiety ulepione z ziemi, powleczone warstwą ziemi, rozpływało się jakby w kałuży błota. Czułem, że pływam w tym pocie, którym ociekała, i nie mogłem złapać tchu, brak mi było tej minimalnej ilości powietrza potrzebnej, by oddychać. Wtedy wstałem. Kobieta spała. Z ust jej wydobywał się jakiś odgłos przypominający bulgotanie, bardzo podobny do rżenia.

Wyszedłem na ulicę, by zaczerpnąć powietrza, ale gorąco prześladowało mnie i przylepiło się jak gdyby do mojej skóry, nie chcąc ustąpić.

I nie było wcale powietrza, tylko zastygła nieruchoma noc, rozpalona sierpniowa kanikuła.

Nie było powietrza. Musiałem łykać to samo powietrze, które wychodziło z moich ust, przytrzymując je rękami, by nie uciekło. Czułem, że jest go coraz mniej, aż wreszcie strumyczek stał się tak cieniutki, że przeciekał przez moje palce na zawsze.

Mówię, na zawsze.

Pamiętam, że widziałem coś jakby pienne obłoki wirujące nad moją głową i piana ta otuliła mnie szczelnie, i rozpląnąłem się w niej. To był ostatni obraz, jaki widziałem.

– Chcesz mi wmówić, że umarłeś z braku powietrza, Juanie Preciado? Znalazłam cię na placu rynkowym, bardzo daleko od domu Donisa, i on także był koło mnie, i mówił, że udajesz umarłego. We dwoje przywlekliśmy cię do bramy, już całkiem sztywnego, skurczonego tak jak ci, co umierają ze strachu. Gdyby nie było powietrza do oddychania tej nocy, o której mówisz, nie starczyłoby nam sił, żeby cię podnieść, a tym bardziej żeby

cię zakopać. A jednak widzisz, żeśmy cię zakopali.

– Masz rację, Doroteo. Mówisz, że się nazywasz Doroteo?

– Niech będzie. Chociaż moje imię jest Dorotea. Ale na jedno wychodzi.

– To prawda, Dorotea. Zabiły mnie szepty.

Tam znajdziesz wszystko, co kocham. Miejsce, które kochałam. To, gdzie moje marzenia odebrały mi siły do życia. Moje miasteczko zbudowane na równinie. Pełne drzew i liści jak skarbonka, gdzie przechowywaliśmy nasze wspomnienia. Poczujesz, że tam człowiek chciałby żyć przez wieczność. Świt, ranek, południe i noc zawsze są te same, ale różnica jest w powietrzu. Tam gdzie powietrze zmienia barwę wszystkiego, życie przepływa, jakby było szeptem, jak gdyby było tylko szeptem życia...

– Tak, Dorotea. Zabiły mnie szepty. Chociaż już przedtem niosłem w sobie zastygły strach. Gromadził się we mnie i narastał, aż wreszcie nie mogłem go dłużej znieść. A gdy spotkałem się z szeptami, popękały we mnie wszystkie struny.

„Dowlokłem się do rynku, masz słuszność. Zaprowadził mnie na to miejsce gwar ludzki, i myślałem, że tam naprawdę są ludzie. Miałem już bardzo mało sił, pamiętam, że cały czas czepiałem się ścian, jakbym szedł na rękach. A ze ścian sączyły się szepty, jakby przeciekały przez szpary i szczeliny. I ja je słyszałem. To były głosy ludzi, ale nie jasne i wyraźne, tylko utajone, jakby szeptały coś do mnie w przejściu albo brzęczały tuż przy moich uszach. Oderwałem się od ścian i szedłem środkiem ulicy, ale mimo to je słyszałem, zupełnie jakby szły wraz ze mną, przede mną czy z tyłu. Nie czułem gorąca, jak ci mówiłem przedtem, przeciwnie, czułem zimno. Odkąd wyszedłem z domu tej kobiety, która mi użyczyła łóżka i którą, jak ci powiedziałem, widziałem rozpływającą się w pocie, od tego czasu trzęsło mnie zimno. I w miarę jak się oddalałem, robiło mi się coraz zimniej, aż wreszcie ścierpła mi skóra. Chciałem się cofnąć, bo myślałem, że wracając, odnajdę ciepło, które zostawiłem za sobą, ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że zimno wychodzi ze mnie, z mojej własnej krwi. Wtedy poznałem, że się boję. Usłyszałem jeszcze głośniejszy rejwach na placu i myślałem, że gdy znajdę się między ludźmi, opuści mnie zimno. Dlatego znaleźliście mnie na placu. A więc Donis jednak wrócił? Tamta kobieta była pewna, że nie wróci”.

– Gdyśmy cię znaleźli, było już rano. Nie wiem, skąd wracał. Nie pytałam go.

– No więc tak, doszedłem do rynku. Oparłem się o filar w jakiejś bramie. Zobaczyłem, że nikogo nie ma, chociaż słyszałem gwar jakby całej gromady ludzi w dzień targowy. Szum bez dźwięku i melodii, podobny do szumu wiatru, który potrząsa gałęziami drzew w nocy, kiedy nie widać ani drzew, ani gałęzi, ale słyszać szum. Tak, właśnie tak. Już nie zrobiłem ani kroku dalej. Miałem wrażenie, że zbliża się do mnie i okrąża mnie ten szept gęsty jak brzęczenie roju, aż wreszcie rozróżniłem słowa, niemal bez dźwięku: „Proś Boga o spokój dla nas”. Usłyszałem, że to mówią. Wtedy zamarzła i zlodowaciała moja

dusza. Dlatego znaleźliście mnie martwego.

– Lepiej byś nie opuszczał nigdy twoich stron. Po coś tu przybył?

– Już ci powiedziałem na początku. Przyszedłem szukać Pedra Páramo, który, jak się zdaje, był moim ojcem. Przywiodło mnie tu złudzenie.

– Złudzenie? To drogo kosztuje. Mnie kosztowało parę lat życia dłużej, niż mi się należało. Tym zapłaciłam za odnalezienie mego dziecka, co nie było niczym innym, tylko jeszcze jednym złudzeniem. Bo nigdy nie miałam żadnego dziecka. Teraz, kiedy już nie żyję, mam czas na rozmyślanie i zrozumienie wszystkiego. Nawet gniazda, gdzie mogłabym je przechować, nie dał mi Bóg. Tylko to długie, bez końca wlokące się życie i te moje smutne oczy, które wszędzie wlokłam za sobą i które zawsze patrzyły z ukosa, jakby szukając czegoś za plecami ludzi, podejrzewając, że ktoś ukrył moje dzieciątko. A wszystko przez jeden przeklęty sen. Miałam dwa sny, jeden z nich nazywam „błogosławionym”, a drugi „przeklętym”. W tym pierwszym śniło mi się, że miałam dziecko. I póki żyłam, nigdy nie przestałam wierzyć, że to prawda, bo czułam je w moich ramionach, mięciutkie, delikatne, pełne oczu, rączek i usteczek, długi czas zachowałam w moich palcach dotyk jego uśpionych oczu i bijącego serca. Jak miałam nie wierzyć, że to prawda? Nosiałam niebożątka z sobą wszędzie, gdziekolwiek szłam, owinięte w chustkę, i nagle je straciłam. W niebie powiedzieli mi, że popełnili pomyłkę. Że mi dali serce matki, ale łono ladacznicy. To był ten mój drugi sen. Przyszłam do nieba, żeby zobaczyć, czy wśród aniołów nie rozpoznam twarzy mojego dzieciątka. Ale nie. Wszystkie twarze były jednakowe. Wtedy zapytałam się. Jeden z tych świętych podszedł do mnie i nic nie mówiąc, zanurzył rękę w moim brzuchu, jakby ją zanurzał w masie wosku. Wyciągnął ją i pokazał mi coś jakby skorupę orzecha: „Oto dowód, który cię przekona”.

„Wiesz, jak dziwnie się wyrażają tam, w górze. Ale zrozumieć ich można. Chciałam im powiedzieć, że to tylko mój żołądek, skurczony od głodu i niedojadania, ale inny święty pociągnął mnie za ramiona i pokazał bramę nieba: »Idź odpocząć jeszcze trochę na ziemi, córko, i staraj się być dobra, żeby skrócić swoją karę w czyścicu«.

To był sen «przeklęty» i to mi wyjaśniło, że nigdy nie miałam żadnego dziecka. Dowiedziałam się o tym już bardzo późno, kiedy moje ciało się zgarbiło, a głowa była zgięta poniżej pleców, kiedy już ledwie powłóczyłam nogami. I wtedy miasto pustoszało, wszyscy odchodzili w swoją drogę i razem z nimi odeszło też miłosierdzie, z którego żyłam. Usiadłam i oczekiwałam śmierci. Potem, jak znaleźliśmy siebie, moje kości postanowiły już grzechotać pod skórą. »Nikt nie zwróci na mnie uwagi – pomyślałam. – Nikomu nie mogę przeszkodzić«. Widzisz, nawet ziemi nie odebrałam dużo miejsca. Zakopali mnie w twoim grobie i zmieściłam się w zagłębieniu twoich ramion. Tu, w tym kąciuku, gdzie jestem teraz. Tylko teraz przychodzi mi na myśl, że to ja ciebie powinnam trzymać w ramionach. Słyszysz? Tam na zewnątrz pada deszcz. Słyszysz dudnienie deszczu?”

– Słyszę coś jakby kroki, jakby ktoś po nas chodził.

– Zostawże te twoje strachy. Nikt cię już nie może przestraszyć. Staraj się myśleć o rzeczach przyjemnych, bo długo będziemy przebywać pod ziemią.

O świcie grube krople deszczu spadły na pole. Padały bezdźwięcznie, żłobiąc ślad w miękkim piasku bruzd. Ptak przedrzeźniacz przeleciał nad samą ziemią z krzykiem podobnym do skargi dziecka, dalej dało się słyszeć coś jakby jęk, a jeszcze dalej, tam gdzie zaczynał otwierać się horyzont, ptak wydał odgłos czkawki, a potem wybuchnął śmiechem i znów zaczął jęczeć.

Fulgor Sedano uczuł zapach ziemi i wyjrzał, by popatrzeć, jak deszcz niszczy bruzdy. Jego małe oczy zajaśniały radością. Wciągnął kilka razy głęboko w płuca zapach wilgoci i pokazał zęby w uśmiechu.

No i patrzcie! – powiedział. – Jeszcze jeden dobry roczek się zapowiada. I dodał: „Chodź, deszczyku, dobry, kochany deszczyku, chodź! Padaj, póki się nie zmęczysz! Potem spłyn, wódeczko, tam dalej, pamiętaj, żeśmy dla ciebie poryli całą ziemię, żebyś miała którąś spływać”.

I roześmiał się na cały głos.

Ptak przedrzeźniacz obleciał już całe pole i teraz wracał. Przelatując tuż koło niego, jęknął rozdzierająco.

Deszcz zaczął padać gęstszy, aż wreszcie tam, gdzie zajaśniał świt, zasnuło się niebo i zdawało się, że powraca ustępująca już ciemność.

Główna brama w Media Luna skrzypnęła, otwierając się, zmoczona deszczem. Wyjechało najpierw dwóch, potem jeszcze dwóch i tak do dwustu ludzi na koniach, którzy rozproszyli się po zalanych deszczem polach.

– Trzeba wypędzić bydło z Enmedia tam, aż za dawne ranczo Estagua, a tamto przegonić po wzgórzach Vilmayo – rozkazywał Fulgor Sedano wyjeżdżającym. – I ruszajcie się żwawo, bo woda leje się na głowę.

Powtórzył to tyle razy, że ostatni słyszeli już tylko: „Stąd – tam, a stamtąd jeszcze dalej”.

Wszyscy po kolei podnosili rękę do kapelusza, żeby dać mu do zrozumienia, że już zrozumieli.

I ledwie przemknął ostatni jeździec, kiedy w bramę wjechał pełnym galopem Miguel Páramo i nie zatrzymując konia, zeskoczył w biegu, prawie przed nosem Fulgora, puszczając konia samego do stajni.

– Skąd to wracasz o tej porze, chłopcze? Gdzie to jeździłeś?

– W konkury.

– Do kogo?

– Jak ci się zdaje? Zgadnij.

– Musi to być Dorotea, ta, co na nią mówią La Cuarraca. To jedyna, która lubi dzieciaki.

– Głupiś, Fulgor, ale to nie twoja wina.

I odszedł, nie zdejmując ostróg, wołając, żeby mu podano śniadanie.

W kuchni Damiana Cisneros także zadała mu to samo pytanie:

– Ale skąd ty wracasz, Miguel?

– Cóż to, nie mam prawa odwiedzać babek?

– Nie złość się. Chowaj dla siebie swoje sekrety. Jakie jajka ci zrobić? Ugotować czy usmażyć?

– Jak chcesz.

– Pytałam cię po dobremu, Miguel.

– Rozumiem, Damiano. Nie martw się o mnie. Znasz ty niejaką Doroteę, którą przezywają La Cuarraca?

– Owszem. A jeżeli chcesz ją zobaczyć, to jest tu, na podwórzu. Zawsze wstaje o świcie i przychodzi tu na śniadanie. To ta, co wszędzie nosi z sobą kamień zawinięty w chustkę i kołysze go w ramionach, mówiąc, że to jej dzieciak. Zdaje się, że spotkało ją jakieś nieszczęście, nikt nie wie, co to było. Żyje z jałmużny.

– Przeklęty stary dziad! Już ja mu pokażę! Oczy mu wyjdą na wierzch ze zdumienia!

Potem zaświtała mu pewna myśl i zastanowił się, czy ta kobieta nie mogłaby mu się na coś przydać. Nie wahając się dłużej, podszedł do bocznych drzwi kuchni i zawołał Doroteę.

– Chodź tutaj, chcę ci zaproponować interes – powiedział.

Nie wiadomo, jakie propozycje jej przedstawił, ale to pewne, że kiedy powrócił, zacierał ręce z uciechy.

– Dawajże te jajka! – zawołał do Damiany. I dodał: – Od dziś będziesz tej kobiecie dawać do jedzenia to samo co mnie i uważaj, żeby cię nie poniosło skąpstwo, liczykrupo!

Tymczasem Fulgor Sedano podszedł do stodoły, żeby zbadać stan zapasów kukurydzy. Niepokoił go ubytek, bo do żniw jeszcze było daleko, poła ledwie obsiano. „Zobaczymy, czy wystarczy”. I dodał: „Ach, ten chłopak! Kubek w kubek jak jego ojciec,

tyle że wcześniej zaczął. Daleko tak nie ujedzie. Zapomniałem mu napomknąć, że wczoraj wieczorem przyszli ze skargą, że kogoś zamordował. Jeżeli tak dalej pójdzie...”

Westchnął i próbował sobie wyobrazić, w którym miejscu mogą się teraz znajdować pastuchy z krowami. Ale uwagę jego odwrócił gniadosz Miguela Páramo, pocierający w tej chwili pyskiem o daszek z gałęzi. „Nawet go nie rozsiodłał – pomyślał. – Ani nie ma zamiaru tego zrobić. Don Pedro przynajmniej jest mniej narwany i ma swoje dni spokojne, kiedy z nim można rozmawiać. Tylko że za na wiele pozwala Miguelowi. Wczoraj go zawiadomiłem, co zbroił jego synalek, a on na to: »Wyobraź sobie, że to ja sam zrobiłem, Fulgor. On jeszcze nie ma dość siły, żeby kogoś zabić. Na to trzeba mieć mocniejsze pazury i twardsze pięści«. Rozłożył ręce, jakby mierzył dynię. »Za wszystko, co robi, zrzucaj winę na mnie«,».

– Miguel przysporzy panu niejednego kłopotu, don Pedro. Szuka guza.

– Daj mu robić, co chce. To jeszcze dziecko. Ile lat skończył? Chyba siedemnaście, nie, Fulgor?

– Może być. Pamiętam, jak go tu przynieśli, jakby to było wczoraj. Ale jest tak popędliwy i tak mu do wszystkiego spieszo, jakby się ścigał z czasem. Przegra w tym wyścigu, zobaczy pan.

– To jeszcze dziecko, Fulgor.

– Niech będzie, jak pan chce, don Pedro, ale ta kobieta, która tu wczoraj przyszła i mówiła, że pański syn zabił jej męża... Nie wiedziałem, jak ją pocieszyć. Ja wiem, ile waży rozpacz, don Pedro. A ta kobieta dźwigała jej dużo. Ofiarowałem jej pięćdziesiąt hektolitrow kukurydzy, żeby zapomniała o tej historii, ale nie chciała przyjąć. Wtedy jej przyrzekłem odszkodowanie, jakie zechce. Nie zgodziła się.

– Kto to był?

– Nie znam tych ludzi.

– Więc nie masz się czego bać, Fulgor. Tych ludzi nie ma.

Gdy wszedł do stodoły, uderzył go w nozdrza zapach rozgrzanej kukurydzy. Wziął garść ziarna, żeby zobaczyć, czy nie ma robaków. Potem zmierzył wysokość. „Powinno starczyć – powiedział. – Jak tylko urośnie trawa, nie trzeba będzie karmić ziarnem bydła. Starczy aż nadto”.

Idąc z powrotem, spojrzał na niebo zaciągnięte chmurami. „Będzie woda. Zapowiada się na ładne parę godzin”. I zapomniał o wszystkim innym.

– Tam na zewnątrz chyba zmienia się pogoda. Moja matka opowiadała mi, że kiedy zaczynało padać, wszystko wypełniało się światłem i zielonym zapachem młodych pędów.

Opowiadała, jak napływały chmury, jak rozdierały się nad ziemią, zmieniając wszystkie barwy... Moja matka, która przeżyła całe dzieciństwo i swoje najlepsze lata w tej wsi i nie mogła wrócić tu nawet po to, żeby umrzeć. Dlatego przysłała mnie tutaj, żebym ją zastąpił. To ciekawe, Doroteo, że nawet nie widziałem tutaj nieba. Przynajmniej niebo musi chyba być takie samo jak to, które ona widziała.

– Nie wiem, Juanie Preciado. Od tylu lat nie podnosiłam głowy, że zapomniałam, jak wygląda niebo. A nawet jakbym na nie patrzyła, cóż by mi z tego przyszło? Niebo jest tak wysoko, a moje oczy przygasły tak, że dosyć mi było wiedzieć, gdzie jest ziemia. Zresztą przestało mnie interesować, odkąd ojciec Rentería powiedział mi, że nigdy nie poznam nieba. Że nawet z daleka go nie zobaczę... To przez moje grzechy, ale on nie powinien był mi tego mówić. Już i bez tego życie jest dość ciężkie. Jedyne, co pozwala człowiekowi powłóczyć nogami po ziemi, to nadzieja, że po śmierci przeniosą go w inne miejsce. Ale kiedy zamykają przed człowiekiem drzwi i zostawiają otwarte tylko te, co prowadzą do piekła, lepiej mu było nigdy się nie rodzić... Niebo dla mnie, Juanie Preciado, jest tutaj, gdzie jestem teraz.

– A twoja dusza? Jak myślisz, dokąd poszła?

– Pewnie błądzi po ziemi jak tyle innych, szukając żywych, co się za nią modlą. Może mnie nienawidzi za to, że ją źle traktowałam, ale to mnie już nie obchodzi. Odpoczęłam nareszcie, kiedy pozbyłam się nałogu wyrzutów sumienia i nie muszę słuchać jej wymówek. Wymawiała mi nawet tę odrobinę jedzenia, jaką mogłam podnieść do ust, i nie dawała spać w nocy. Tak, noce były nie do zniesienia przez te niespokojne myśli o potępieńcach i innych takich rzeczach. Kiedy już sobie usiadłam, żeby umrzeć, ona kazała mi wstać i wlec dalej to życie, jakby czekała jeszcze na cud, który by oczyścił mnie z grzechów. Ale ani mi się śniło posłuchać. „Tu się kończy nasza wspólna droga – powiedziała jej. – Dalej nie mam już siły”. I otworzyłam usta, żeby ze mnie wyszła. I wyszła. Poczułam, kiedy spadła mi na rękę niteczka krwi, co ją wiązała z moim sercem.

Zastukali do jego drzwi, ale nie odpowiedział. Słyszał, jak dalej łomoczą we wszystkie drzwi domu, budząc ludzi. Fulgor Sedano – poznał go po krokach – nim odszedł, zatrzymał się na chwilę, jakby ponownie zamierzał zastukać. Potem pobiegł dalej.

Szmer głosów. Powolne stąpanie, jakby niesiono coś ciężkiego.

Nieokreślone odgłosy.

Przyszło mu na pamięć wspomnienie śmierci ojca, także o świcie, takim jak ten, ale wtedy drzwi były otwarte i widział szare niebo, jakby utkane z popiołu, niewypowiedziane smutne. I kobietę powstrzymującą szloch, opartą o drzwi. Matkę, o której już był zapomniał i zapomniał wiele razy. Mówiła mu: „Zabili twego ojca” tym połamanym, rozbitym głosem, którego cząsteczki łączyła tylko nitka płaczu. Nigdy nie chciał powracać

do tego wspomnienia, bo niosło z sobą inne – tak jak gdyby rozpruł pełen worek i potem chciał zatrzymać wysypujące się z niego ziarno. Śmierć ojca, która wlokła inne śmierci i w każdej z nich zawsze był obraz poszarpanej twarzy, wybite jedno oko, a drugie mściwie spoglądające. I jeszcze jedno wspomnienie, i jeszcze, aż dopóki tamto nie zatarło się w pamięci, kiedy nie było już nikogo, kto by mógł pamiętać.

– Połóżcie go tutaj. Nie, nie tak, głową w tył. Ty! Na co czekasz?

Wszystko cichutkim głosem.

– A on?

– Śpi. Nie budźcie go.

Patrzył, jak kładą go, przykrytego starymi workami niby całunem.

– Kto to jest? – spytał.

Fulgor Sedano zbliżył się do niego i rzekł:

– To Miguel, don Pedro.

– Co mu zrobili? – krzyknął.

Spodziewał się usłyszeć: „Zabili go”. I już czuł, jak wzbiera w nim furia i twardnieje uraza, ale usłyszał łagodne słowa Fulgora Sedano, który rzekł:

– Nikt mu nic nie zrobił. On sam znalazł śmierć.

Kaganki naftowe rozświetlały ciemność.

– ... Zabił go koń – odważył się powiedzieć ktoś.

Umieścili go na łóżku, zrzuciwszy siennik, i na gołych deskach złożyli ciało, uwolnione już od szmat i sznurów, na których go nieśli. Ręce ułożyli mu na piersi i zakryli twarz czarną krepą. „Wydaje się większy, niż był zawsze” – powiedział cicho Fulgor Sedano.

Pedro Páramo nie mówił nic i twarz jego miała wyraz obojętny, jakby nieobecny. Gdzieś ponad nim myśli mknęły jedna za drugą, nie mogąc się dogonić ani połączyć w jakąś całość. Wreszcie rzekł:

– Zaczynam spłacać długi. Lepiej zacząć wcześniej, żeby jak najprędzej skończyć.

Nie czuł bólu.

Kiedy przemówił do ludzi zgromadzonych na podwórzu, dziękując im za przybycie, jego głos usiłujący przedrzeć się poprzez lamenty kobiet nie załamywał się ani nie szukał słów. Później tej nocy słyhać już było tylko rzenie gniadego konia Miguela Páramo.

– Jutro każ zabić to zwierzę, żeby się dłużej nie męczyło – rozkazał Fulgorowi Sedano.

– Dobrze, don Pedro. Rozumiem to. Biedak musi się czuć bardzo osamotniony.

– Ja też tak myślę, Fulgor. A przy okazji powiedz tym babom, żeby nie płakały tak głośno, za dużo wrzasku jak na zmarłego, który należy do mnie. Kogoś z własnej rodziny nie oplakiwałyby tak ochoczo.

Ojciec Rentería przez wiele lat jeszcze miał pamiętać noc, kiedy nie mógł zasnąć na swym twardym łóżku i wyszedł z domu. Była to noc, gdy zginął Miguel Páramo.

Obiegł opustoszałe ulice Comala, wypłaszając swymi krokami psy grzebiące w śmietnikach. Doszedł do rzeki i tu zatrzymał się, obserwując odbicie spadających z nieba gwiazd. Spędził tu wiele godzin, szamocząc się ze swymi myślami, rzucając je w czarną wodę rzeki.

Wszystko się zaczęło – myślał – kiedy Pedro Páramo z małego łajdaka wyrósł na wielkiego. Rósł jak chwast. A najgorzej, że wszystko dostał ode mnie: „Oskarżam się, ojcze duchowny, że wczoraj spałam z Pedrem Páramo”. „Oskarżam się, że mam dziecko z Pedrem Páramo”. „Że oddałam moją córkę Pedrowi Páramo”. Zawsze czekałem, aż on sam przyjdzie się o coś oskarżyć, ale nigdy nie przyszedł. A później jeszcze dalej sięgnął szponami swej niegodziwości poprzez tego swego syna. Syna, którego uznał, Bogu jednemu wiadomo dlaczego. Ja wiem tylko, że sam dałem mu do rąk to narzędzie.

Pamiętał dobrze dzień, kiedy mu przyniósł noworodka.

Powiedział mu:

– Don Pedro, matka umarła przy jego urodzeniu. Powiedziała, że to pańskie dziecko. Oto jest.

A on nie wyraził żadnej wątpliwości, powiedział tylko:

– Czemu nie zostawi go ksiądz u siebie, ojcze? Można go zrobić księdzem.

– Zważywszy krew, jaką ma w żyłach, nie chcę brać na siebie tej odpowiedzialności.

– Naprawdę myśli ksiądz, że moja krew jest zła?

– Naprawdę, don Pedro.

– Dowiodę księdzu, że tak nie jest. Proszę go zostawić. Będzie komu nim się zająć.

– I ja tak myślałem. Przynajmniej u pana nie zabraknie mu dachu nad głową.

Chłopaczek kręcił się jak żmija, chociaż taki był malutki.

– Damiana! Zajmij się tym dzieciakiem. To mój syn.

Potem otworzył butelkę.

– Wypiję to za pamięć nieboszczki. I za zdrowie księdza.

– A za niego?

– Za niego także, czemu nie?

Nalał jeszcze jeden kieliszek i obaj wypili za szczęśliwą przyszłość dziecka.

Tak się to odbyło.

Zaczęły nadjeżdżać wozy w kierunku Media Luna. Ksiądz przykucnął, usiłując skryć się w trzcinach rosnących na brzegu. „Przed kim się kryję?” – spytał sam siebie.

– Niech będzie pochwalony, ojcze – słyszał, jak zwracają się do niego.

Podniósł się z ziemi i odpowiedział:

– Na wieki wieków. Niech wam Bóg błogosławi.

Gasły światła miasteczka. Woda rzeki zapełniła się świetlistymi barwami.

– Czy już dzwoniли na jutrznię, ojcze? – spytał jeden z woźniców.

– Musieli dzwonić już dawno – odpowiedział. I poszedł w kierunku przeciwnym niż oni, z zamiarem niezatrzymywania się nigdzie.

– Dokąd tak wcześnie, ojcze?

– Do chorego, ojcze?

– Czy umarł ktoś w Contla, ojcze?

Miał ochotę odpowiedzieć: „Ja. To ja umarłem”. Ale uśmiechnął się tylko.

Wyszedłszy za rogatki, przyspieszył kroku. Gdy wrócił, był już późny ranek.

– Gdzie byłeś, stryju? – spytała go Ana, jego siostrzenica. – Przychodziło tu wiele kobiet. Chciały się wypowiedzieć, bo jutro pierwszy piątek miesiąca.

– Niech przyjdą wieczorem.

Chwilę siedział w milczeniu na ławce w korytarzu, przymknąwszy oczy ze zmęczenia.

– Jaki ładny ranek, prawda, Ana?

– Gorąco, stryju.

– Nie czuję gorąca.

Za wszelką cenę chciał odepchnąć od siebie myśl, że był w Contla, gdzie odbył spowiedź generalną, i że proboszcz tamtejszy, nie zważając na jego błagania, odmówił mu rozgrzeszenia.

– Ten człowiek, którego nazwiska nie chcesz wymieni ć, zniszczył twój kościół, a

tyś się temu nie sprzeciwił. Czego można się teraz spodziewać po tobie, księżu? Coś zrobił ze służbą Bożą? Chcę wierzyć, że jesteś dobry i że cieszysz się tam szacunkiem wszystkich, ale nie wystarczy być dobrym. Grzech nie jest dobry. I żeby go wyplenić, trzeba być twardym i bezlitosnym. Chcę wierzyć, że wszyscy nadal są wierzący, ale to nie ty utwierdzasz ich wiarę, to strach i zabobon. Wiem, w jakim ubóstwie żyjesz, z jakimi trudnościami co dzień musisz walczyć. Wiem, jak ciężkie jest nasze zadanie w tych biednych wioskach, dokąd nas wysłano. Ale właśnie dzięki temu mam prawo powiedzieć ci, że nie należy oddawać się na usługi tym, którzy dadzą ci cośkolwiek w zamian za twoją duszę, bo gdy twoja dusza będzie w ich rękach, co zrobisz, by być lepszym od nich, lepszych od ciebie? Nie, ojczu, moje ręce nie są dość czyste, by ci udzielić rozgrzeszenia. Będziesz musiał szukać go gdzie indziej.

– Czy to znaczy, że mam odejść, księżu proboszczu?

– Masz odejść. Nie możesz uświęcać innych, kiedy sam jesteś w stanie grzechu.

– A jeśli mnie zawieszają w służbie kapłańskiej?

– Być może na to zasługujesz. To już oni rozsądzą.

– Nie mógłby ojczu?... Tymczasowo, powiedzmy... Muszę dawać oleje święte. Komunię. Tyle ludzi umiera w mojej parafii, księżu proboszczu.

– Zostaw, księżu, niech Bóg sędzi umarłych.

– A więc nie?

I ksiądz proboszcz z Contla powiedział, że nie.

Potem obaj przeszli przez wirydarze plebanii ocienione azaliami. Usiedli pod osłoną altanki, gdzie na kracie dojrzewały winogrona.

– Kwaśne są, ojczu – pospieszył ksiądz proboszcz z odpowiedzią na pytanie, które spodziewał się usłyszeć. – Mieszkamy na ziemi, gdzie dzięki Opatrzności wszystko się rodzi, ale wszystko jest kwaśne. Jesteśmy na to skazani.

– Ma ksiądz słuszość, księżu proboszczu. Tam, w Comala, próbowałem sadzić winogrona. Nie przyjęły się. Rosną tylko arrojany i pomarańcze, pomarańcze cierpkie i tamte owoce także cierpkie. Zapomniałem już, jak smakują rzeczy słodkie. Pamięta ksiądz te guawy, które mieliśmy w seminarium? A te mandarynki, które za pociśnięciem wyskakiwały ze skóry? Przywiozłem tu trochę nasion. Mało, jedną torebkę, potem myślałem, że lepiej je było zostawić tam, gdzie mogłyby dojrzeć, bo tu czeka je śmierć.

– A jednak, ojczu, mówią, że ziemia w Comala jest dobra. Szkoda, że cała znajduje się w ręku jednego człowieka. Pedro Páramo wciąż jeszcze włada wszystkim, prawda?

– Taka jest wola Boża.

– Nie sędzę, żeby w tym wypadku przejawiała się wola Boża. A ksiądz nie jest tego

zdania?

– Czasem miałem wątpliwości, ale tam wszyscy to uznają.

– A ksiądz jest w liczbie tych wszystkich?

– Ja jestem nieszczęsnym człowiekiem gotowym upokorzyć się, kiedy mnie do tego skłaniają.

Potem pożegnali się. Ojciec Rentería ucałował ręce proboszcza. Teraz, znowu u siebie, wróciwszy do rzeczywistości, nie chciał już więcej myśleć o tym ranku w Contla.

Wstał i podszedł do drzwi.

– Dokąd idziesz, stryju?

Jego siostrzenica Ana, zawsze obecna, zawsze obok niego, jakby szukała jego cienia, by schronić się przed życiem.

– Przejdę się chwilę, Ano. Może mi to dobrze zrobi.

– Źle się czujesz, stryju?

– Źle nie, Ano. Czuję się zły. Jestem złym człowiekiem. Oto co czuję.

Poszedł do Media Luna złożyć kondolencje Pedrowi Páramo. Wysłuchał znowu usprawiedliwień za winy, jakie przypisywano jego synowi. Pozwolił mu mówić. Ostatecznie nic już nie miało znaczenia. Odrzucił natomiast zaproszenie na obiad.

– Nie mogę, don Pedro. Muszę być wcześniej w kościele, bo czeka na mnie cała gromada kobiet przy konfesjonale. Innym razem.

Odszedł wolnym krokiem i czekał, aż zapadnie zmrok, by wejść do kościoła. Poszedł tam prosto, jak stał, zakurzony i nieszczęsny. Zasiadł w konfesjonale.

Pierwsza przybliżyła się stara Dorotea, która zawsze była pod drzwiami kościoła, czekając, aż je otworzą. Poczuł, że bije od niej zapach alkoholu.

– Co, już się zdążyłaś upić? Kiedy?

– To dlatego, że byłam na czuwaniu przy Miguelicie, ojczu. I dali mi naparu z cynamonu. Dali mi tyle pić, że ogłupiałam.

– Nigdy ci do tego wiele nie brakowało, Doroteo.

– Ale teraz mam prawdziwe grzechy do wyznania, ojczu. Aż za dużo.

Wiele razy przedtem mówił jej: „Nie spowiadaj się, Doroteo, niepotrzebnie mi tylko zabierasz czas. Ty już nie możesz popełnić żadnego grzechu, choćbyś chciała. Zostaw to innym”.

– Ale teraz tak, ojczu. Naprawdę.

– Mów.

– Ponieważ i tak niczym nie mogę mu już zaszkodzić, wyznam, że to ja rałam dziewczęta nieboszczykowi Miguelowi Páramo.

Ojciec Rentería, który zamierzał już pograć się we własnych myślach, jakby nagle oderwany od marzeń, zapytał, niemal z przyzwyczajenia:

– Od jak dawna?

– Od kiedy wyrósł na chłopaka. Odkąd zaczęło go ponosić.

– Powtórz jeszcze raz, co mówiłaś, Doroteo.

– No więc to ja wyszukiwałam dziewczęta dla Miguelita.

– Przeprowadzałaś je do niego?

– Czasem tak. Kiedy indziej umawiałam schadzki. A czasem tylko dawałam mu wskazówkę. Rozumie ksiądz, pora, kiedy są same i kiedy najłatwiej je zaskoczyć.

– Dużo było tych dziewcząt?

Nie chciał o to pytać, ale pytanie wymknęło mu się samo, z przyzwyczajenia.

– Już prawie straciłam rachubę, ojcze. Ale w każdym razie bardzo dużo.

– No i co, cóż mam z tobą zrobić, Doroteo? Jak myślisz? Osądź się sama. Zdecyduj, czy możesz siebie rozgrzeszyć.

– Ja nie, ojcze. Ale ojciec może. Dlatego tu przyszłam.

– Ile razy już tu przychodziłaś prosić, żebyś cię wysłał do nieba po śmierci? Chciałaś zobaczyć, czy tam nie znajdziesz swego syna, prawda, Doroteo? No cóż, nie będziesz mogła już iść do nieba. Ale niech ci Bóg przebaczy.

– Dziękuję, ojcze.

– Tak. Ja także przebaczam ci w jego imieniu. Możesz odejść.

– Nie da mi ksiądz żadnej pokuty?

– Nie potrzebujesz jej, Doroteo.

– Dziękuję, ojcze.

– Idź z Bogiem.

Zastukał w kratkę przy okienku konfesjonału, by przywołać następną z penitentek. I podczas gdy słuchał słów „Spowiadam się Panu Bogu Wszchemmogącemu”, jego głowa pochyliła się, jakby nie miała sił trzymać się prosto. Potem przyszła ta słabość, ten zamęt w umyśle, uczucie, że mózg rozpuszcza się jakby w gęstej wodzie, i to wirowanie światła, całe światło dnia rozplątywało się nagle, zataczając kręgi. I ten smak krwi w ustach. Słyszał

„Zgrzeszyłam Panu Bogu Wszechmogącemu” powtórzone głośniej kilka razy i wreszcie formułkę końcową „na wieki wieków amen”, „na wieki wieków amen”, „na wieki wieków...”

– Już dosyć – powiedział. – Od jak dawna się nie spowiadałaś?

– Dwa dni, ojcze.

Znowu tu była. Jakby krążyło wokół niego nieszczęście. „Co ty tu robisz? – pomyślał. – Idź odpocząć. Jesteś bardzo zmęczony”.

Wyszedł z konfesjonału i udał się prosto do zakrystii. Nie odwracając głowy, powiedział do ludzi, którzy na niego czekali:

– Wszyscy, którzy czują się bez grzechu, mogą przystąpić do komunii jutro rano.

Za nim dał się słyszeć tylko szept.

Leżę na tym samym łóżku, gdzie umarła moja matka wiele lat temu, na tym samym materacu, pod tym samym kocem z czarnej wełny, w który owijałyśmy się obie do spania. Spałam wtedy obok niej, w malutkim kąciuku, który mi zostawiała pod ramionami.

Zdaje mi się, że słyszę jeszcze jej rytmiczny oddech. Drgnienia i westchnienia, którymi kołysała mnie do snu... Zdaje mi się, że czuję smutek jej śmierci...

Ale to nieprawda.

Leżę tutaj na wznak, myśląc o tych czasach, żeby zapomnieć o mojej samotności. Bo nie znalazłam się tu tylko na chwilę. I nie leżę na łóżku mojej matki, tylko wewnątrz czarnej skrzyni, takiej jak te, w których chowają zmarłych. Bo jestem umarła.

Czuję to miejsce, gdzie jestem, i myślę...

Myślę o tych dniach, kiedy dojrzewały cytryny. O wietrze zimowym, który łamał łodygi paproci, nim uschły zapomniane przez wszystkich, dojrzałe cytryny wypełniające swoim zapachem stare podwórze.

Wiatr schodził z gór w lutowe poranki. A chmury pozostawały na górze, czekając, aż piękna pogoda każe im zstąpić w dolinę, a tymczasem zostawiały puste niebieskie niebo, pozwalały bawić się z wiatrem, zataczając koła na ziemi, wzbijając pył i smagając gałęzie pomarańcz.

A wróble śmiały się, dziobały liście strącone przez wiatr i śmiały się, zostawiały swoje piórka na kolcach gałęzi, goniły za motylami i śmiały się. To był ten czas.

W lutym, kiedy ranki pełne są wiatru, wróbli i niebieskiego światła. Pamiętam.

Moja matka umarła wtedy.

I ja powinnam była krzyknąć, moje ręce powinny rozerwać się na kawałki, miażdżąc swoją rozpacz... Tak chciałabyś, żeby było. Ale czyż nie był wesoły tamten ranek? Moje nogi zaczęły okrywać się puszką, a moje ręce drżały, dotykając piersi. Wróble bawiły się. Na zboczach gór kołysały się kłosa. Żałowałam, że ona nie zobaczy już nigdy więcej, jak bawi się wiatr z jaśminami, że oczy jej będą zamknięte na światło dnia. Ale dlaczego miałabym płakać?

Pamiętasz, Justino? Ustawiłaś krzesła wzdłuż całego korytarza, żeby ci ludzie, co przyjdą ją pożegnać, czekali na swoją kolej. Zostały puste. A moja matka sama, pośród świec, jej blada twarz i białe zęby ledwie widoczne między wargami, sinymi, zakrzepłymi w zsiniałej śmierci. Jej rzęsy już nie trzepotały, ucichło serce. Ty i ja modliłyśmy się bez końca, choć ona nic nie słyszała, choć nie słyszałyśmy nic, ja i ty, bo wszystko gubiło się w szumie wiatru pod płaszczem nocy. Prasowałaś jej czarną suknię, krochmaliłaś kołnierzyk i mankiety, żeby jej ręce także wyglądały jak nowe, złożone na martwej piersi. Jej stara, kochająca pierś, na której spałam tyle czasu, która karmiła mnie i falowała, by mnie kołysać we śnie.

Nikt do niej nie przyszedł. Tak lepiej. Śmierci nie rozdziela się jak majątku. Nikt nie idzie szukać smutku.

Zakołatano do drzwi. Wyszłaś otworzyć.

– Idź ty – powiedziałam. – Ja nie widzę ludzkich twarzy, zamazują mi się przed oczyma. I powiedz, żeby sobie poszli. Przyszli po pieniądze na mszę gregoriańską? Ona nie zostawiła żadnych pieniędzy. Powiedz im to, Justino. Nie wyjdzie z czyścica, jeżeli nie odprawią tych mszy? Kimże są oni, żeby czynić sprawiedliwość, Justino? Mówisz, że jestem wariatką? Niech tak będzie.

A twoje krzesła zostały puste, aż poszłyśmy ją pogrzebać, z tymi wynajętymi ludźmi, którzy dźwigali cudzy ciężar, obcy wszelkiemu bólowi. Zasypali grób mokrym piaskiem, spuszczały trumnę powoli, cierpliwie, jak wymaga ich zawód, w świeżym powiewie wiatru, który dawał ulgę w ich wysiłku. Ich oczy zimne, obojętne. Powiedzieli: „Należy się tyle i tyle”. I ty im zapłaciłaś, jak każdy płaci za to, co kupił, rozwiązując chusteczkę moką od łez, wyciskaną wiele razy, a teraz zawierającą pieniądze na pogrzeb...

A kiedy oni odeszli, uklękłaś w miejscu, gdzie pozostała jej twarz, i całowałaś ziemię, i byłabyś zrobiła dziurę w ziemi, gdybym ci nie powiedziała: „Chodź, Justino, ona już jest gdzie indziej, tutaj są tylko martwe szczątki”.

– Czy to ty to wszystko mówiłaś, Doroteo?

– Ja? Zdrzemnęłam się na chwilę. Wciąż dręczą cię strachy?

– Słyszałam, jak ktoś coś mówił. Głos kobiety. Myślałam, że to ty.

– Głos kobiety? Myślałeś, że to ja? To musi być ta, co mówi sama do siebie. Ta z wielkiego grobowca. Doña Susanita. Leży tu pogrzebana obok nas. Musiała dotrzeć do niej wilgoć i pewnie przewraca się z boku na bok przez sen.

– Ale kto to jest?

– Ostatnia żona Pedra Páramo. Jedni mówili, że to wariatka. Inni, że nie. Ale prawda, że rozmawiała sama z sobą jeszcze za życia.

– Pewnie już dawno temu umarła.

– Och, tak. Dawno. Co mówiła?

– Coś o swojej matce.

– Ależ ona nie miała matki...

– Coś takiego jednak mówiła.

– ... Albo przynajmniej nie przywiozła jej z sobą, jak tu przyjechała. Ale czekaj. Teraz sobie przypominam, że ona tu się urodziła i że potem zniknęła stąd już dawno. Ach, tak, prawda, jej matka umarła na tyfus. To była bardzo dziwna kobieta, zawsze chora i nigdy nikogo nie odwiedzała.

– Ona też coś podobnego mówiła. Że nikt nie przyszedł odwiedzić jej matki, kiedy umarła.

– Ale o jakich czasach ona może mówić? Jasne, że nikt nie przyszedł do domu ze strachu, żeby się nie zarazić tyfusem. Czyżby pamiętała to jeszcze, niecnota?

– O tym mówiła.

– Kiedy ją znów usłyszysz, powiedz mi. Chciałabym się dowiedzieć, o czym mówi.

– Słyszysz? Zaraz pewnie coś powie. Słyszać jakiś szept.

– Nie, to nie ona. To słyszać z dalszej odległości i z innej strony. I głos należy do mężczyzny. Zawsze to samo z tymi, co umarli już dawniej: jak tylko dostanie się do nich woda, zaczynają się wiercić i budzą innych.

Niebo jest wielkie. Bóg był ze mną tej nocy. Gdyby tak nie było, któż wie, co by się stało. Bo już zapadła noc, kiedy odżyłem...

– Słyszysz teraz wyraźnie?

– Tak.

... Krew była wszędzie. I kiedy się uniosłem, ręka zanurzyła się we krwi rozlanej na kamieniach. To była moja krew. Mnóstwo krwi. Ale ja nie byłem martwy. Zrozumiałem to. Dowiedziałem się, że don Pedro nie miał zamiaru mnie zabić, tylko chciał mnie przestraszyć. Chciał sprawdzić, czy to ja byłem w Vilmayo dwa miesiące temu. W dzień

świętego Krzysztofa. Na weselu. Na jakim weselu? W jakiego świętego Krzysztofa? Broczyłem wciąż krwią i spytałem go: „Na jakim weselu, don Pedro?” Nie, nie, ja tam nie byłem. Może przypadkiem tamtędy przechodziłem. Ale to było przypadkiem... On nie chciał mnie zabić. Pokaleczył mnie tylko, zrobił kaleką bez jednej nogi, jak widzicie, i bez ręki, jeśli chcecie. Ale mnie nie zabił. Mówią, że od tego czasu przestałem widzieć na jedno oko, taki to był wstrząs. Ale pewne jest, że się zahartowałem. Niebo jest wielkie. I nikt o tym nie wątpi.

– Kto to może być?

– Licho go wie. Jeden z wielu. Pedro Páramo tylu ludzi wyprawił na tamten świat, po tym jak mu zamordowali ojca! Mówią nawet, że wykończył wszystkich gości na tym weselu, gdzie don Lucas zginął tylko przypadkiem, bo tamci szykowali się na pana młodego. A że nigdy nie dowiedziano się, skąd wyszła ta kula, co go trafiła, Pedro Páramo wymiół wszystkich. To było tam na wzgórzu Vilmayo, gdzie stało kilka zagród, ale już z nich nie zostało ani śladu... O, teraz tak, zdaje się, że to ona. Ty masz młode uszy. Uważaj, co mówi. Potem mi powtórzysz.

– Nie mogę nic zrozumieć. Zdaje się, że nie mówi, tylko się skarży, jęczy.

– Ale na co się skarży?

– Nie wiem.

– Coś w tym musi być. Nikt nie jęczy bez powodu. Nastaw dobrze uszu.

– Skarży się tylko, nic więcej. Może Pedro Páramo zadał jej ból.

– Nie wierz w to. On ją kochał. Powiedziałabym nawet, że nigdy nie kochał żadnej kobiety tak jak ją. Dali mu ją dopiero po wielu latach, kiedy już przecierpiała swoje i prawie nie była przy zdrowych zmysłach. Tak ją kochał, że resztę swego życia spędził, siedząc na skrzyni, spoglądając na drogę, którą szli ci, co ją zanieśli na cmentarz. Nic go już nie interesowało. Pooddawał swoje ziemie i kazał spalić dobytek. Jedni mówią, że to dlatego, że był zmęczony, inni, że zniechęcił się do wszystkiego. Pewne jest, że oddalił wszystkich swoich ludzi i usiadł na kufrze, zwrócony twarzą do tej drogi.

„Od tego czasu ziemia leżała odłogiem i wszystko zaczęło sypać się w gruzy. Przykro było patrzeć, jak pola zarastają zielskiem, bo ta plaga szerzyła się bez opamiętania, odkąd przestano dbać o ziemię. Ludzie marli, inni zaczęli odchodzić w poszukiwaniu innej ziemi, która ich mogła wykarmić. Pamiętam dzień, gdy w Comala słyhać było tylko same pożegnania i prawie przyjemność nam sprawiało odprowadzanie tych, co odchodzili. Bo też odchodzili z zamiarem powrotu. Pod naszą opieką zostawiali swoje rzeczy i rodzinę. Potem niektórzy przysłali po rodzinę, ale po rzeczy nie, a potem już zapomnieli o nas i o całej wsi, i nawet o swoich rzeczach. Ja zostałam, bo nie miałam dokąd iść. Inni zostali, żeby czekać, aż umrze Pedro Páramo, bo jak mówili, obiecał im zostawić swój dobytek, i niektórzy żyli jeszcze tą nadzieją. Ale mijały lata, a on wciąż żył,

zawsze na tej skrzyni przy oknie, niby straszycło na ptaki, wpatrzony w ziemie Media Luna.

A kiedy już niewiele mu brakowało do śmierci, przyszły te wojny Chrystusowe* i żołnierze odeszli, zabierając tę resztkę ludzi, co tu jeszcze została. Wtedy właśnie zaczęłam umierać z głodu i od tego czasu nigdy już nie odzyskałam siły.

A wszystko przez to, że tak chciał don Pedro, przez te cierpienia jego duszy. Tylko dlatego, że umarła jego żona, Susanita. Możesz sobie wyobrazić, czy ją kochał”.

Powiedział mu o tym Fulgor Sedano.

– Wie pan, kto się tu zjawił?

– Kto?

– Bartolomé San Juan.

– Skąd się wziął?

– O to samo i ja się pytam. Co tu może robić?

– Nie rozmawiałeś z nim?

– Nie, muszę się przyznać. I nie szukał domu na mieszkanie. Poszedł prosto do dawnego domu pana. Tam wysiadł i postawił bagaże, jakby zawczasu już go od pana odnajął. Tak się przynajmniej wydawało, bo bardzo był pewny siebie.

– A, ty od czego jesteś, Fulgor, że nie dowiedziałeś się, co i jak? Czy to nie twoja rzecz?

– Tak mnie to zaskoczyło, że straciłem głowę. Ale jutro wyjaśnię tę sprawę, jeżeli pan to uważa za konieczne.

– Jutro to już sam się nimi zajmę. Biorę to na siebie. Przyjechali oboje?

– Tak, on i jego żona. Ale skąd pan wie?

– Żona, nie córka?

– Ze sposobu, w jaki się do niej odnosi, wygląda raczej, że to żona.

– Idź już spać, Fulgor.

– Jeśli pan nie ma nic przeciw temu...

*

* Mowa o ruchu kontrrewolucyjnym podczas rewolucji 1910 roku kierowanym przez katolików, którzy występowali pod hasłem „Chrystus Król”.

Czekałem trzydzieści lat na twój powrót, Susano – powiedział: Pedro Páramo. – Czekałem, aż dostanę wszystko. Nie na cokolwiek, tylko na wszystko, co można uzyskać, tak żeby już nie było innych pragnień, prócz twoich, żeby istniało tylko to, czego ty pragniesz. Ileż razy wzywałem twego ojca, żeby tu powrócił i zamieszkał na nowo, mówiąc mu, że go potrzebuję. Próbowałem nawet oszustwa.

Zaproponowałem, że go zrobię moim administratorem, bylebym mógł cię znowu zobaczyć. I co mi odpowiedział? „Nie ma odpowiedzi – mówił mi zawsze posłaniec. – Don Bartolomé drze pańskie listy, jak tylko mu je doręczam”. Ale przez tego chłopca dowiedziałem się, że wyszłaś za mąż, a wkrótce potem, że owdowiałaś i wróciłaś znów do twego ojca.

Potem milczenie.

Posłaniec chodził tam i z powrotem i zawsze wracał z odpowiedzią:

– Nie znalazłem ich, don Pedro. Mówią, że wyjechali z Mascota. Jedni mówią, że tam, inni, że gdzie indziej.

A ja:

– Nie zważaj na koszty, szukaj ich. Przecież ziemia ich nie pochłonie.

Aż pewnego dnia przyszedł i mówi:

– Przebiegłem całe góry, pytając, gdzie się ukrywa don Bartolomé San Juan, dopóki go nie odszukałem, tam daleko, w tej kryjówce górskiej. Mieszkał w szałasie zbudowanym z pni drzewa, tam gdzie była ta opuszczona kopalnia „La Andromeda”.

Już wtedy wiały jakieś dziwne wiatry. Mówiono, że ludzie powstali z bronią w ręku. Docierały do nas różne pogłoski. Właśnie to przygnało twego ojca tutaj. Nie chodziło mu o siebie, jak mi pisał w liście, tylko o twoje bezpieczeństwo, chciał cię przywieźć do jakiegoś spokojnego miejsca.

Czułem otwierające się przede mną Niebo. Miałem odwagę przybiec do ciebie. Otoczyć cię radością. Płakać. I płakałem, Susano, kiedy się dowiedziałem, że nareszcie wróciłaś.

– Są wsie skazane na nieszczęście. Można to poznać, gdy tylko odetchnie się ich starym, zatechłym powietrzem, nędznym i cherlawym, jak wszystko co stare. To jest jedna z takich wsi, Susano.

„Tam, skąd teraz przybywamy, mogłaś przynajmniej radować się patrzeniem na to, jak się wszystko rodzi, ptaki i chmury, i mech, pamiętasz? Tutaj będziesz tylko czuła tę żółtą stęchlą woń, która zewsząd wyziera. Bo to jest miejsce nieszczęsne, całe przesiąknięte nieszczęściem.

On prosił nas, żebyśmy wrócili. Użyczył nam swego domu. Dał nam wszystko, czego możemy potrzebować. Ale nie mamy za co mu być wdzięczni. To dla nas nieszczęście być tutaj, bo tu nie znajdziemy żadnego ratunku. Przeczuję to.

Wiesz, czego ode mnie żądał Pedro Páramo? Byłem pewien, że nie daje nam tego wszystkiego za darmo. I gotów byłem odpłacić mu moją pracą, bo w jakiś sposób trzeba mu było zapłacić. Powiedziałem mu o kopalni »La Andromeda« ze wszystkimi szczegółami i wytłumaczyłem, że z tego da się dużo wyciągnąć przy metodycznej pracy. I wiesz, co mi odpowiedział? »Nie interesuje mnie pańska kopalnia, Bartolomé San Juan. Jedyne, co mnie interesuje, to pańska córka. To najlepiej ze wszystkich prac się panu udało«.

A więc kocha ciebie, Susano. Mówi, że bawiłaś się z nim, kiedy byliście dziećmi. Że już cię zna od dawna. Żeście się razem kąpali w morzu jako dzieci. Ja o tym nie wiedziałem, gdybym wiedział, zatłukłbym cię na śmierć”.

– Nie wątpię o tym.

– Czyś to ty powiedziała, że nie wątpisz?

– Ja to powiedziałam.

– A więc jesteś gotowa z nim spać?

– Tak, Bartolomé.

– Nie wiesz, że jest żonaty i że już miał mnóstwo kobiet?

– Tak, Bartolomé.

– Nie mów do mnie Bartolomé. Jestem twoim ojcem.

Bartolomé San Juan, zmarły górnik. Susana San Juan, córka górnika, zabitego w kopalniach „La Andromeda”. Widział to jasno. „Będę musiał tam iść umrzeć” – pomyślał. Potem rzekł:

– Powiedziałem mu, że choć jesteś wdową, nadal żyjesz z twoim mężem, tak przynajmniej się zachowujesz. Próbowałem odwieść go od tego zamiaru, ale patrzy na mnie dzikim wzrokiem, kiedy mówię do niego, a ile razy wspomnę twoje imię, zamyka oczy. O ile ja wiem, ten człowiek jest wcielonym złem. Oto czym jest Pedro Páramo.

– A ja czym jestem?

– Ty jesteś moją córką. Moją. Córką Bartolomé San Juana.

W głowie Susany San Juan zaczęły krążyć myśli, najpierw powoli, potem zatrzymały się, potem zaczęły wirować tak szybko, że ledwie zdążyła powiedzieć:

– To nieprawda. To nieprawda.

– Ten świat, który uciska nas ze wszystkich stron, który tu i tam rozsypuje garści

naszych prochów, rozszarpując nas na szczątki, jakby podlewał ziemię naszą krwią! Co zrobiliśmy? Dlaczego zgniła nam dusza? Twoja matka mówiła, że przynajmniej zostaje nam miłosierdzie Boże. A ty się go wyrzekasz, Susano. Dlaczego się mnie wypierasz, przeczysz, że jestem twoim ojcem? Czyżbyś zwariowała?

– Nie wiedziałeś o tym?

– Jesteś wariatką?

– Jasne, że tak, Bartolomé. Nie wiedziałeś?

– Wiedziałeś, Fulgor, że to jest najpiękniejsza kobieta, jaka kiedykolwiek urodziła się na ziemi? Zacząłem wierzyć, że straciłem ją na zawsze. Ale teraz nie mam ochoty znów jej stracić. Rozumiesz mnie, Fulgor? Powiedz jej ojcu, żeby sobie odjechał i dalej wydobywał srebro ze swoich kopalni. A tam... przypuszczam, że łatwo będzie temu staremu zginąć w tych pustynnych okolicach, dokąd nikt nie zagląda. Nie sądzisz?

– Może to być.

– Musi być. Ona musi zostać sierotą. Musimy kogoś bronić i mieć pod swoją opieką. Nie uważasz?

– To chyba łatwe.

– No więc rusz się, Fulgor, do roboty.

– A jeśli ona się dowie?

– Któż może jej o tym powiedzieć? No, powiedz sam, z nas dwóch który jej to powie?

– Z pewnością żaden.

– Opuść to „z pewnością”. Odwołaj to zaraz, a zobaczysz, jak wszystko się dobrze składa. Przypomnij sobie, jak dzielnie pracował w tej kopalni. Wyślij go tam, niech dalej pracuje. Niech jeździ tam i z powrotem. Byle mu nie przyszło do głowy zabierać z sobą córki. Tam będzie jego praca, a tu jego dom. Zresztą już ten dom zna. Powiedz mu tak, Fulgor.

– Podoba mi się pański zapach, don Pedro, całkiem jakby duch w panu odmłodził.

Na pola w dolinie Comala pada deszcz. Deszcz drobny, obcy tym ziemiom, które znają tylko ulewy. Jest niedziela. Z Apango zeszli Indianie ze swymi różańcami z rumianku, swoim rozmarynem, wiązkami macierzanki. Nie przynieśli łuczywa, bo drzewo jest

mokre, ani ziemi spod dębów^{*}, bo także przemokła od częstych deszczów. Rozścielili swoje zioła na ziemi, pod arkadami kościoła, i czekają.

Deszcz pada wciąż, powiększając kałuże.

Pomiędzy bruzdami, tam gdzie rodzi się kukurydza, woda płynie strumieniami. Ludzie nie przyszli dziś na rynek, zajęci rozkopywaniem bruzd, żeby woda poszukała sobie nowych koryt i nie niszczyła młodziutkich pędów. Idą w grupach, brnąc przez wodę, pod deszczem rozrywając miękkie skiby, rozgarniając rękoma młodą kukurydzę i usiłując ją chronić, żeby rosła bez przeszkód.

Indianie czekają. Czują, że dzień jest niedobry. Może dlatego drżą w swoich mokrych, uplecionych ze słomy kaftanach^{**}, nie z zimna, lecz ze strachu. I spoglądają na drobny deszcz i na niebo, gdzie chmury nie chcą się rozerwać.

Nikt nie przychodzi. W miasteczku jakby nie było żywego ducha. Żony poleciły im kupić nici do cerowania, trochę cukru, a jeśli to możliwe i jeśli się znajdzie – sito do cedzenia *atole*^{***}. Ubranie nasiąka wilgocią i staje się coraz cięższe, im bliżej południa. Gawędzą, opowiadają sobie anegdoty, śmieją się. Obnażone szyje błyszczą zmoczone rosą. Myślą: „Gdybyśmy przynieśli choć trochę *pulque*^{****}, to jeszcze można byłoby wytrzymać, ale włókna agawy całe nasiąkły wodą. Cóż, nic na to nie poradzimy”.

Justina Díaz nadchodziła prawą stroną drogi, która prowadzi z Media Luna. Szła pod parasolem, omijając kałuże i strumienie na chodnikach. Przeżegnała się, przestępując próg kościoła. Weszła do kruchty. Indianie znów ją ujrzeli. Zobaczyła utkwione w siebie przenikliwe spojrzenia wszystkich. Zatrzymała się przy pierwszym straganie, kupiła za dziesięć centavos liści rozmarynu i zawróciła, wciąż ścigana wzrokiem Indian.

– Wszystko tak podrożało w ostatnich czasach – powiedziała, kierując się z powrotem na drogę do Media Luna. – Ta nędzna gałązka rozmarynu dziesięć centavos! Nawet zapachu da niewiele.

Indianie zwinęli swoje manatki o zmierzchu. Szli po deszczu z ciężkimi tobołami na plecach. Wstąpili do kościoła, by pomodlić się przed figurą Matki Najświętszej, zostawić jej w darze garść tymianku. Potem ruszyli w stronę Apango, skąd przyszli. „Tam będzie inny dzień” – powiedzieli. I szli drogą, opowiadając sobie wesołe historyjki i śmiejąc się.

Justina Díaz weszła do sypialni Susany San Juan i położyła rozmaryn na półeczce pod ołtarzykiem. Zaciągnięte firanki nie przepuszczały światła, tak że w ciemności widziała tylko cienie, odgadywała kształty. Pomyślała, że Susana San Juan pewnie już śpi;

* Ziemia spod dębów używana jest jako nawóz.

** Indianie używają kaftanów ze słomy jako płaszczy nieprzemakalnych.

*** Syrop z ugotowanej mąki kukurydzianej z dodatkiem różnych przypraw i korzeni.

**** Napój ze sfermentowanego soku agawy.

jej życzeniem było, żeby zawsze spała. Wydało jej się, że tak jest i ucieszyła się. Ale wtedy usłyszała westchnienie dalekie, jakby dochodzące z jakiegoś kąta w tym ciemnym pokoju.

– Justino! – zawołano ją.

Odwróciła głowę. Nie zobaczyła nikogo, ale uczuła dłoń na swoim ramieniu i oddech tuż przy uszach. Cichy głos szepczący tajemniczo: „Idź sobie stąd, Justino. Zabierz swoje manatki i odejdz. Już cię nie potrzebujemy”.

– Ona mnie potrzebuje – powiedziała, prostując się. – Jest chora i potrzebuje mnie.

– Już nie, Justino. Ja tu zostanę przy niej.

– To pan, don Bartolomé? – i nie czekała na odpowiedź. Wydała ów okrzyk, który dotarł aż do uszu mężczyzn i kobiet wracających z pola i o którym powiedzieli wtedy: „Zdaje się, że to jęk ludzki, ale tak jakby nie pochodził od ludzkiej istoty”.

Deszcz głośno hałasuje. Słysząc go już po tym wszystkim, jak rozsypuje swoje krople, przędąc nić życia.

– Co ci się stało, Justino? Dlaczego krzyczysz? – spytała Susana San Juan.

– Ja nie krzyczałam, Susano. Musiało ci się przyśnić.

– Mówiłam ci, że nigdy mi się nic nie śni. Nie zważasz na to, co mówię. Jestem bardzo niewyspana. Wczoraj w nocy nie wyrzuciłaś kota z pokoju i nie dał mi spać.

– Spał ze mną w nogach. Był całkiem przemoczony i zziębnięty, więc z litości pozwoliłam mu zostać w łóżku, ale nie robił żadnego hałasu.

– Nie, hałasu nie. Tylko spacerował po mnie, po całym ciele, i miauczał cichutko, jakby był głodny.

– Dałam mu jeść do syta i nie odchodził ode mnie przez całą noc. Znów ci się śnią jakieś banialuki, Susano.

– Mówię ci, że przez całą noc skakał po mnie i nie dawał spać. Ten twój kot jest bardzo miły, ale nie chcę go mieć przy sobie, kiedy śpię.

– To wszystko są twoje senne przywidzenia, Susano. Nic innego. Kiedy przyjdzie Pedro Páramo, powiem mu, że już nie mogę z tobą wytrzymać. Powiem mu, że odchodzę. Znajdę ludzi, którzy mi dadzą pracę. Nie wszyscy mają widziadła jak ty, ani nie dokuczają człowiekowi przez cały dzień jak ty. Jutro odejdę i zabiorę z sobą kota, i będziesz sobie żyła spokojnie.

– Nie odejdziesz stąd jutro, przeklęta Justino! Nie odejdziesz nigdzie, bo nigdy nigdzie nie znajdziesz nikogo, kto by cię kochał tak jak ja.

– Nie, nie odejdę, Susano. Nie odejdę. Wiesz, że jestem tu po to, żeby cię strzec i

troszczyć się o ciebie. Nie szkodzi, że się mnie wypierasz, będę przy tobie zawsze.

Była przy niej od momentu urodzenia. Nosiła ją na rękach. Nauczyła ją chodzić. Stawiać te kroki, które wydawały się jej wieczne. Patrzyła, jak coraz większe stają się jej usta i oczy „jak cukierki”. Cukierki miętowe są niebieskie. Żółte i niebieskie. Zielone i niebieskie. Miętowe. Pożerała pocałunkami jej małe nóżki. Dawała jej do ssania swoje piersi, w których nie było mleka i mogły jej służyć tylko jako zabawka. „Baw się – mówiła. – Baw się tą twoją zabaweczką”. Byłaby ją zadusiła z miłości.

Tam, za oknami padał deszcz na liście bananów, słychać było odgłos taki, jakby woda wrzała nad wodą stojącą na ziemi.

Pościel była zimna od wilgoci. Strumienie bulgotały, piętrzyły się zwałami piany, znużone pracą przez cały dzień, przez całą noc, przez cały dzień. Woda wciąż napływała z szumem, z nieustającym bulgotaniem.

Była północ i tam, na zewnątrz, szum wody zagłuszał wszystkie inne odgłosy.

Susana San Juan wstała powoli. Powoli rozprostowała ciało i odeszła od łóżka. Tam była znowu ta kula z ołowiu, u jej stóp, wędrowała wzdłuż jej ciała, szukając twarzy.

– Czy to ty, Bartolomé? – spytała.

Wydało jej się, że słyszy skrzypnięcie drzwi, jakby ktoś wszedł albo wyszedł. A potem już tylko deszcz, nieprzerwany, zimny, toczący się po liściach bananów, wrzący własnym wrzeniem.

Zasnęła i obudziła się dopiero, gdy światło oświetliło czerwone cegły, pokropione rosą pośród szarego poranka nowego dnia. Zawołała:

– Justino!

I tamta zjawiała się natychmiast, jakby już tam czekała, otulona pledem.

– Czego chcesz, Susano?

– Kot. Znowu przyszedł.

– Biednaś ty, Susano.

Złożyła głowę na jej piersi, obejmując ją, aż tamta odepchnęła ją lekko i spytała:

– Dlaczego płaczesz? Powiem Pedrowi Páramo, że jesteś dla mnie dobra. Nie powiem nic o twoim kocie ani o tym, jak mnie straszy. Nie płacz, Justino.

– Twój ojciec nie żyje, Susano. Umarł przedwczoraj w nocy, a dziś przyszli z wiadomością, że nie da się nic zrobić, że już go pochowano. Nie można było go przewieźć tutaj, bo podróż trwałaby za długo. Zostałaś sama, Susano.

– A więc to był on – uśmiechnęła się. – Przyszedłeś się ze mną pożegnać – powiedziała. I uśmiechnęła się.

Wiele lat temu, kiedy była jeszcze dzieckiem, on powiedział jej:

– Teraz zejź niżej, Susano, i powiedz mi, co widzisz.

Była zawieszona na sznurze, który wpijał się w ciało w okolicy pasa i ranił do kiwi jej ręce, ale nie chciała go puścić, jakby to była jedyna nić przywiązująca ją do świata z zewnątrz.

– Nie widzę nic, tatusiu.

– Poszukaj dobrze, Susano. Postaraj się coś znaleźć.

I świecił jej swoją latarnią.

– Nie widzę nic, tato.

– Spuszczę cię jeszcze niżej. Zawołaj, kiedy staniesz na ziemi.

Dostała się tu przez mały otwór pomiędzy deskami. Szła po deskach starych, spróchniałych, oblepionych grząską ziemią.

– Zejź jeszcze niżej, Susano, a znajdziesz to, o czym ci mówię.

Zstępowała coraz niżej i niżej na swojej huśtawce, kołysząc się na głębokościach, kiwającymi się nogami poszukując gruntu.

– Jeszcze niżej, Susano. Jeszcze niżej. Powiedz mi, czy coś widzisz.

A gdy znalazła oparcie, nie powiedziała nic, bo oniemiała z przerażenia. Latarnia krążyła nad nią i światło przesuwalo się wzdłuż jej sylwetki. Zadrżała na dźwięk okrzyku, który rozległ się na górze.

– Daj mi to, co tu jest, Susano.

Pochwyciła w ręce czaszkę, a gdy padło na nią światło, puściła ją.

– To trupia czaszka – powiedziała.

– Powinnaś znaleźć coś jeszcze obok. Podaj mi wszystko, co tu znajdziesz.

Kościotrup rozsypał się na części. Szczęka oderwała się, jakby była z cukru. Podawała mu kolejno piszczele i drobne kości, kończąc na palcach u nóg. A zaczęła od czaszki; tej okrągłej bryły, która rozkruszyła się w rękach.

– Szukaj dalej, Susano. Tam muszą być pieniądze, krążki złota. Szukaj ich, Susano.

Wtedy ona straciła poczucie własnego istnienia i odzyskała świadomość dopiero w wiele dni później, pośród lodu, lodowatych spojrzeń ojca.

Dlatego śmiała się teraz.

– Zrozumiałam, że to byłeś ty, Bartolomé.

I biedna Justina, która płakała na jej piersi, musiała wstać, widząc, że ona się śmieje i śmiech przechodzi w konwulsje.

Za oknami wciąż padał deszcz. Indianie odeszli. Był to poniedziałek i dolina Comala pogrążyła się w deszczu.

Wiatr dął silnie przez wszystkie te dni. Ten wiatr, który przyniósł z sobą deszcze. Deszcz ustał, ale wiatr pozostał. Tam na polach młoda kukurydza zwijała liście i kładła się na bruzdach, szukając ochrony przed wiatrem. W dzień huragan chwilami przycichał i chwiały się gałęzie, i skrzypiały gonty w dachach, ale w nocy huczał i jęczał długo. Kłęby chmur przesuwają się w milczeniu po niebie, nisko, nad samą ziemią.

Susana San Juan słyszy, jak wiatr łomocze w zamknięte okna. Leży na łóżku z rękoma założonymi pod głowę, rozmyślając, słuchając, jak noc krąży wleczona podmuchem nieustającego wiatru. Potem nagle wszystko ucicha.

Ktoś otworzył drzwi. Gwałtowny podmuch gasi lampę. Susana widzi ciemność i wtedy przestaje myśleć. Słyszy stłumione szepty. Potem słyszy nierówne uderzenia swego serca. Poprzez zamknięte powieki dostrzega smugę światła.

Nie otwiera oczu. Jej włosy rozsypały się na twarz. W świetle błyszczą krople potu na jej wargach. Pyta:

– Czy to ty, ojcze?

– Jestem twoim ojcem, córko moja.

Na pół otwiera oczy. Patrzy poprzez rozsypane włosy, jak po suficie przesuwają się cień, z głową pochyloną nad jej twarzą. Niewyraźna sylwetka naprzeciw niej, poza zasłoną deszczu jej rzęs. Rozproszone światło, światło w miejscu serca, w kształcie małego serca, które drży jak mrugający płomień. „Serce umiera z bólu – myśli. – Już wiem, że przychodzisz mi powiedzieć, że umarł Florencio. Ale o tym już wiem. Nie smuć się za innych, nie bój się o mnie. Przechowuję mój ból w bezpiecznym miejscu. Nie pozwól zgasnąć sercu”.

Wyprostowała ciało i dźwignęła je w stronę ojca Renterii.

– Chcę cię pocieszyć moim smutkiem – powiedziała, osłaniając ręką płomień świecy.

Ojciec Rentería pozwolił jej zbliżyć się do siebie, patrzył, jak otacza rękami zapaloną świecę, a potem przysuwa twarz do płonącego knota, aż wreszcie zapach spalonego ciała kazał mu odsunąć świecę i zgasić ją jednym dmuchnięciem.

Wtedy wróciły ciemności, Susana pobiegła schronić się pod koc.

Ojciec Rentería powiedział jej:

– Przyszedłem pokrzepić cię, córko.

– A więc odejdz, ojcie – odpowiedziała. – Nie wracaj. Nie potrzeba mi ciebie.

Słyszała, jak się oddalają kroki, które zawsze pozostawiały jej uczucie zimna, drżenia i lęku.

– Po co do mnie przychodzisz, skoro umarłeś? Ojciec Rentería zamknął drzwi i wyszedł na chłód nocny.

Wiatr dął bez przerwy.

Człowiek, którego nazywano Jąkałą, przyszedł do Media Luna i spytał o Pedra Páramo.

– Czego od niego chcesz?

– Chcę z nim m-mówić.

– Nie ma go.

– Powiedz mu, jak w-wróci, że przychodzę w sprawie don F-Fulgora.

– Pójdę go poszukać, ale musisz poczekać parę godzin.

– P-powiedz mu, że to p-pilne.

– Powiem mu.

Człowiek zwany Jąkałą czekał, nie zsiadając z konia. Po jakimś czasie Pedro Páramo, którego nigdy przedtem nie widział, stanął naprzeciw niego.

– Czego sobie życzysz?

– M-muszę pomówić sam na sam z panem na M-Media Luna.

– To ja jestem. Czego chcesz?

– Nic, t-tylko coś powiedzieć. Z-zabili don Fulgora S-Sedano. Byłem z nim razem. Poszliśmy w k-kierunku hydrantów, żeby sprawdzić, czemu tak mało wody dopływa, i szliśmy t-tam, kiedy z-zobaczyliśmy gromadę ludzi, co nam w-wyszli na spotkanie. I j-jeden z nich się odezwał: „T-tego to ja znam. To administrator z Media Luna”.

Na mnie nie zwrócili ż-żadnej uwagi. Ale don F-Fulgorowi kazali zsiąść z muła. Powiedzieli mu, że są r-rewolucjonistami. Że przyszli po p-pańskie pola. „Idź do n-niego – powiedzieli don Fulgorowi. – Idź i p-powiedz, że wkrótce się z-zobaczymy”. I on zaczął u-uciekać, przerażony. N-nie b-bardzo prędko, bo d-dużo waży, ale pobiegł. Strzelili do niego, jak biegł. Umarł z j-jedną nogą podniesioną do g-góry.

N-no to ja się nie r-ruszyłem. Zaczekałem, aż się ściemni, i p-przyszedłem_f żeby panu p-powiedzieć, co się stało.

– I na co jeszcze czekasz? Czego tu stoisz? Idź i powiedz, że jestem tutaj, do ich usług. Niech przyjdą się ze mną porozumieć. Ale najpierw wstąp do Consagración. Znasz człowieka, którego nazywają Tilcuate*? On tam musi być. Powiedz mu, że muszę się z nim zobaczyć. A tamtym daj znać, że ich czekam, kiedykolwiek sobie życzą. Co to za jedni, ci rewolucjoniści?

– N-nie wiem. Tak mi p-powiedzieli.

– Tilcuate ma tu przyjść jak najprędzej, powiedz mu to.

– Dobrze, p-panie.

Pedro Páramo zamknął się w swoim biurze. Czuł się stary i przybity. Nie przejął się Fulgorem, któremu ostatecznie i tak już niewiele się należało. Dał z siebie wszystko, co mógł dać, chociaż był bardzo usłużny i przydatny, to trzeba przyznać. „Tak czy owak Tilcuate pokaże tym głupcom, co umie” – pomyślał.

Myślał raczej o Susanie San Juan, zamkniętej wciąż w swoim pokoju, śpiącej w dzień i w nocy, a jeśli nie, to śniącej na jawie. Poprzednią noc spędził na nogach, oparty o ścianę, w bladym świetle nocnej lampki obserwując poruszające się niespokojnie ciało Susany, jej twarz spoconą, ręce szarpiące prześcieradło, głowę rzucającą się na poduszce.

Odkąd sprowadził ją do swego domu, nie znał innych nocy spędzonych przy niej, niż takie jak ta, pełna bólu i nieprzerwanego lęku. I pytał sam siebie, jak długo to będzie trwało?

Ufał, że kiedyś się skończy. Nic nie może trwać przez wieczność, nie istnieje wspomnienie, choćby nie wiem jak głęboko wyryte w sercu, które by kiedyś nie zgasło.

Gdyby wiedział przynajmniej, jaki ból tak ją szarpie, każe bezsennie przewracać się na łóżku, jakby rozdzierano ją na strzępy.

Zdawało mu się, że ją zna. A nawet choćby i nie znał, czy nie dość było wiedzieć, że jest najpiękniejszym stworzeniem, najbardziej przez niego kochanym na ziemi? I że – to było chyba jeszcze ważniejsze – dzięki niej teraz, gdy będzie odchodził, drogę oświetli mu blask tego obrazu, który zaćmi wszystkie inne wspomnienia.

Ale jaki był świat Susany San Juan? To była jedna z tych rzeczy, których Pedro Páramo nigdy się nie dowiedział.

Moje ciało lubiło dotyk rozgrzanego piasku. Oczy miałam zamknięte, otwarte ramiona,

* Tilcuate – wąż morski z gatunku boa, znany ze swej chytryści.

rozprostowane nogi. Pieścił je wiatr morski, a morze było przede mną, dalekie, zostawiające ledwie resztki piany na moich stopach, gdy się oddalało...

– Teraz to na pewno ona mówi, Juanie Preciado. Nie zapomnij powtórzyć mi, co mówiła.

... Był wczesny ranek. Morze wznosiło się i opadało w spiętrzonych falach. Odrzucało pianę i odchodziło, czyste, ze swą zieloną wodą, falując lekko.

– W morzu umiem się kąpać tylko nago – powiedziałam mu. A on poszedł ze mną pierwszego dnia, także nagi; jego skóra błyszczała, gdy wynurzył się z morza. Nie było mew, tylko te ptaki, które nazywają „szpetne dzioby”, te, co kraczą, jakby chrapały, i znikają, gdy wyjdzie słońce. On poszedł ze mną pierwszego dnia i czuł się sam, chociaż ja tam byłam.

– To tak, jakbyś była jednym z tych „szpetnych dziobów”, jeszcze jednym spośród innych – powiedział mi. – Lepiej mi się podobasz w nocy, gdy nasze głowy leżą na tej samej poduszce, w ciemności.

I odszedł.

Ja wróciłam. Wróciłabym zawsze. Morze oblewa moje stopy i ucieka, oblewa moje kolana, moje uda, obejmuje mnie w talii swoim łagodnym ramieniem, przywiera do moich pleców. Wtedy pogrążam się w nim cała. Poddaję mu się, jego mocnym smaganiom, jego słodkiej władzy, daję wszystko, nie zostawiając ani cząsteczki dla siebie.

– Lubię kąpać się w morzu – powiedziałam mu.

Ale on tego nie rozumie.

A nazajutrz byłam w morzu, oczyszczając się ze wszystkich win, oddając się jego falom.

W szarobrazowym zmierzchu zjawili się ludzie. Szli zbrojni w karabiny, obciążeni ładownicami. Było ich około dwudziestu. Pedro Páramo zaprosił ich, by zjedli z nim kolację. Oni zaś, nie zdejmując kapeluszy, zasiedli wygodnie przy stole, czekając w milczeniu. Słyszeć było tylko głośnie cmokanie, gdy przyniesiono im czekoladę, i odgłos poruszających się szczęk, gdy pochłaniali jeden za drugim placki kukurydziane z fasolą.

Pedro Páramo spoglądał na nich. Nie znał tych twarzy. Za nim w ciemnym kącie czekał Tilcuate.

– Panowie – powiedział, ujrawszy, że skończyli jeść. – Czym jeszcze mogę wam służyć?

– Pan jest właścicielem tego? – spytał jeden z nich z okrągłym gestem ręki.

Ale inny mu przerwał:

– Teraz ja mówię.

– Dobrze. Czym wam mogę służyć? – powtórzył Pedro Páramo.

– Jak pan widzi, powstaliśmy z bronią w ręku.

– No i?

– To już wszystko. Panu nie wystarczy?

– Ale dlaczegoście to zrobili?

– Dlatego, że inni zrobili tak samo. Nie wie pan? Niech pan trochę poczeka, aż nadejdą instrukcje, a wtedy wyjaśnimy panu przyczynę. Na razie tu jesteśmy.

– Ja znam przyczynę – powiedział drugi. – I jeśli pan chce, to panu wytłumaczę. Zbuntowaliśmy się przeciw rządowi i przeciwko wam, bo już znudziło nam się was znosić. Rządu mamy dość za jego szachrajstwa, a was dlatego, że jesteście tylko bandą złodziei i parszywych łobuzów. O rządzie już nic więcej nie powiem, bo wytłumaczmy mu przy pomocy kul to, co chcemy powiedzieć.

– Ile potrzebujecie pieniędzy na tę swoją rewolucję? – spytał Pedro Páramo. – Może będę mógł wam pomóc?

– Dobrze mówi ten pan, Perseverancio. Nie powinieneś tak rozpuszczać języka. Potrzebujemy zjednać sobie kogoś bogatego, żeby nas poparł, a któż może być lepszy niż ten pan tu obecny. Powiedz ty, Casildo, ile nam trzeba?

– Niech nam da, co sam uważa za stosowne.

– Ten nie dałby nikomu na owinięcie palca. Skorzystajmy, że tu jesteśmy, żeby mu wydrzeć nawet tę kukurydzę, którą ma teraz w swoim świńskim brzuchu.

– Uspokój się, Perseverancio. Po dobroci lepiej wszystko można załatwić. Zaraz się porozumiemy. Mów ty, Casildo.

– No więc według mojego obliczenia jakieś dwadzieścia tysięcy na początek nie byłoby za dużo. Co wy na to? Kto wie, może temu panu to się wyda mało, jeżeli już ma dobrą wolę nam pomóc. Jeśli tak, niech dołoży do pięćdziesięciu tysięcy. Zgoda?

– Dam wam sto tysięcy pesos – powiedział Pedro Páramo. – Ilu was jest?

– Trzystu chłopów.

– Dobra. Dam wam jeszcze trzystu ludzi, żebyście mogli wzmocnić swoje szeregi. W ciągu tygodnia będziecie mieli do dyspozycji zarówno ludzi, jak pieniądze. Pieniądze wam daruję, ludzi tylko użyczam. Kiedy już ich zwolnicie, odeślijcie mi ich tutaj. Tak będzie dobrze?

– Jakżeby nie.

– No więc do zobaczenia za tydzień, panowie. Bardzo mi było miło was poznać.

– Dobrze – powiedział ostatni, wychodząc. – Pamiętaj pan tylko, w razie niedotrzymania obietnicy przypomni panu o tym Perseverando, bo takie jest moje imię.

Pedro Páramo pożegnał go uściskiem ręki.

– Jak myślisz, który z nich jest dowódcą? – spytał później Damasia, zwanego Tilcuate.

– Mnie się zdaje, że ten brzuchaty, co siedział w środku i przez cały czas nie puścił pary z gęby. Coś mi się widzi, że to on... Rzadko się mylę, don Pedro. Mam dobrego nosa.

– Nie, Damasio. Dowódcą jesteś ty. A bo co, może nie chcesz przystąpić do buntu?

– Z jaką jeszcze chęcią! Pan już wie, że mnie tylko w to graj.

– Sam widziałeś, co i jak, toteż nie potrzebujesz moich rad. Dobierz sobie trzystu chłopaków, którym najwięcej ufasz, i zaciągnij się do powstańców. Powiedz im, że przyprowadzasz ludzi, których obiecałem przysłać. Dalej sam będziesz wiedział najlepiej, jak tym wszystkim pokierować.

– A o pieniądzach co im mam powiedzieć? Też im doręczyć?

– Dam ci po dziesięć pesos na głowę. Tylko na najpilniejsze potrzeby dla każdego. Powiedz im, że reszta jest tu na przechowaniu i do ich dyspozycji. Niebezpiecznie mieć przy sobie tyle pieniędzy na tych szlakach. A teraz, przy okazji, z innej beczki: Nie miałbyś ochoty na to małe ranczo, Puerta de Piedra? Dobrze, od tej chwili należy do ciebie. Zaniesiesz zlecenie do rejenta Gerarda Trujillo z Comala, on od razu przepisze tę ziemię na twoje imię. Co powiesz na to, Damasio?

– Tu nie ma o czym mówić, szefie. Nawet bez tego z przyjemnością będę maszerował w szeregu. Myślałby kto, że mnie pan nie zna! Tak czy owak dziękuję panu. Stara będzie miała przynajmniej czym się zająć przez ten czas, kiedy ja będę wojował.

– A jak już tam będziesz, to zabierz też sobie parę krów. Przydałoby się na tym ranczo trochę więcej bydła.

– Nie szkodzi, jak wybiorę parę sztuk zebu?

– Wybierz, co chcesz, i niech się nimi zajmie twoja żona. A wracając do naszej sprawy, staraj się nie oddalać zanadto od moich terenów, żeby kiedy inni ściągną, zastali już miejsce zajęte. I przyjdź się ze mną zobaczyć, ile razy możesz, albo jak tylko będą jakieś nowiny.

– Zobaczymy się wkrótce, szefie.

– Co ona mówi, Juanie Preciado?

– Mówi, że chowała swoje stopy między jego stopami. Swoje zziębnięte stopy, zimne jak kamienie, i że tam się rozgrzewały jak w piecu do chleba. Że on gryzł jej stopy, mówiąc, że są jak chleb, dobrze wypieczony w piecu, ze złocistą skórką. Że spała skulona, wciśnięta w jego ramiona, zagubiona w nicości, gdy czuła, jak rozrywa się jej ciało, że otwiera się jak rozdarte przez gwóźdź płonący, potem ciepły, potem słodki, wbijający się w jej miękkie ciało. Że poddawała się, poddawała, coraz bardziej uległa, aż do jęku rozpaczony. Ale że bardziej bolała ją jego śmierć. Tak powiada.

– O kim ona to wszystko mówi?

– O kimś, kto umarł przed nią, z pewnością.

– Ale kto to mógł być?

– Nie wiem. Mówi, że tej nocy, kiedy się spóźnił, zdawało jej się, że wrócił bardzo późno po północy, może nad ranem. Prawie tego nie zauważyła, bo jej stopy, które były samotne i zimne, nagle jakby czymś zostały przykryte, ktoś je w coś owijał i rozgrzewał. Kiedy się zbudziła, zobaczyła, że są owinięte gazetą, którą czytała, czekając na niego, i upuściła na podłogę, gdy już zmorzyła ją senność. I że jej stopy były owinięte w tę gazetę, kiedy przyszedł jej powiedzieć, że on nie żyje.

Musiała się popsuć trumna, w której ją zakopali, bo słyhać jakby skrzypienie desek. – Tak, ja też słyszę.

Tej nocy znów następowały sny jeden po drugim. Dlaczego to rozpamiętywanie, tak intensywne, tylu rzeczy? Czemu nie po prostu śmierć, po co ta wizja przeszłości?

– Florencio nie żyje, proszę pani.

Jaki długi był ten człowiek! Jaki wysoki! I jaki twardy miał głos! Suchy jak wypalona słońcem ziemia. A jego postać była zamazana – albo może później stała się taka? – jakby między nią a nim była zasłona deszczu. „Co on powiedział? Florencio? O jakim Florencio mówił? O moim? Och, czemuż nie zapłakałam i nie rozpląnęłam się we łzach, żeby spłukać mój ból Boże, ty nie istniejesz! Prosiłam Cię o opiekę nad nim. Żebyś mi go chronił. Tak bardzo Cię prosiłam. Ale Ciebie obchodzą tylko dusze. A to, co ja w nim kochałam, to jego ciało. Nagie i pałające miłością, wrzące od pragnień, miazdzące drżący lęk moich piersi i ramion. Moje przezroczyście ciało zawieszony na jego ciele. Moje lekkie ciało podtrzymywane i oddane jego siłom. Cóż zrobię teraz z moimi ramionami, kiedy zabraknie jego ust? Co zrobię z moimi oszalałymi z bólu wargami?”

Podczas kiedy Susana San Juan przewracała się niespokojnie na łóżku, stojący przy drzwiach Pedro Páramo patrzył na nią i liczył sekundy tego nowego snu, który trwał już tak długo. Skwierczała oliwa w lampce, a płomień mrugał coraz słabiej. Wkrótce zgaśnie.

Gdyby przynajmniej dręczył ją ból, a nie te sny, nieznające ukojenia, te nieskończone długie i wycieńczające sny – mógłby znaleźć dla niej jakąś ulgę. Tak myślał Pedro Páramo ze wzrokiem utkwionym w Susanę San Juan, śledząc każdy z jej ruchów. Co się stanie, gdy ona także zgaśnie, kiedy zgaśnie płomień tego słabego światełka, w którym ją widział?

Potem wyszedł, cichutko zamykając za sobą drzwi. Za drzwiami czyste powietrze nocy oddaliło od Pedra Páramo obraz Susany San Juan.

Susana zbudziła się na krótko przed świtem. Oblewał ją pot. Zrzuciła na podłogę ciężkie koce i uwolniła się nawet od prześcieradeł. Wtedy jej ciało zostało nagie, ochłodzone wiatrem poranka. Westchnęła i usnęła na nowo.

Tak zastał ją w kilka godzin później ojciec Rentería, naga i śpiącą.

– Wie pan, don Pedro, że rozbili oddział Tilcuatę?

– Wiem, że była jakaś bitwa wczoraj w nocy, słychać było odgłosy, ale poza tym nic więcej nie wiem. Kto ci o tym powiedział, Gerardo?

– Przywlokło się kilku rannych do Comala. Moja żona pomagała ich opatrywać. Mówili, że są ludźmi Damasia i że wielu z nich poległo. Zdaje się, że doszło do spotkania z tymi, co się nazywają villiści*.

– Co to jest, u diabła ciężkiego, Gerardo? Widzę, że nadchodzą złe czasy. A ty co zamierzasz robić?

– Odjeżdżam, don Pedro. Do Sayula. Tam się osiedlę na stałe.

– Wy, adwokaci, macie tę przewagę, że możecie wszędzie przewozić swój majątek, tak długo, dopóki nie rozkwaszą wam pyska.

– Niech pan w to nie wierzy, don Pedro, zawsze mamy swoje kłopoty. Zresztą, to boli zostawiać takich ludzi jak pan, i szacunek, jaki sobie człowiek zdobył, rozprasza się z wiatrem. Żyjemy, niszcząc za każdym razem nasz świat, jeśli można tak powiedzieć. Gdzie mam zostawić pańskie papiery?

– Nie zostawiaj. Zabierz z sobą. Czy nie możesz zajmować się moimi sprawami tam, dokąd jedziesz?

– Wdzięczny jestem panu za zaufanie, don Pedro. Szczerze wdzięczny. Ale wyznam z wielką przykrością, że to niemożliwe. Pewne nieformalności, powiedzmy... Świadczenia, które pan tylko jeden powinien znać. Mogłyby posłużyć do różnych zgubnych manewrów, gdyby wpadły w inne ręce. Bezpieczniej zostawić je u pana.

* Zwolennicy Pancho Villi.

– Słusznie mówisz, Gerardo. Zostaw je tutaj. Spalę to wszystko. Z dokumentami czy bez nich, kto może zakwestionować moje prawo do własności tego, co mam?

– Absolutnie nikt, don Pedro. Nikt.

– Idź z Bogiem, Gerardo.

– Co pan mówi?

– Mówię, niech Bóg będzie z tobą.

Rejent Gerardo Trujillo wyszedł powolutku. Był już stary, ale nie na tyle, by nie pamiętać o stawianiu kroków tak drobnych, tak opieszalnych. Prawdę mówiąc, spodziewał się jakiejś nagrody. Służył don Lucasowi, świeć Panie nad jego duszą, ojcu don Pedra, potem jemu samemu, aż do tej chwili, potem także Miguelowi, synowi don Pedra. To prawda, że oczekiwał gratyfikacji. Jakiegoś wynagrodzenia wysokiego i wartościowego. Mówił swojej żonie:

– Idę pożegnać się z don Pedrem. Wiem, że mnie wynagrodzi. Przypuszczam, że z pieniędzmi, które mi da, będziemy mogli urządzić się w Sayula i przeżyć spokojnie resztę naszych dni.

Ale dlaczego kobiety zawsze muszą mieć jakieś wątpliwości? Otrzymują jakieś zawiadomienia z nieba, czy jak? Ona nie była pewna pomyślnego skutku jego starań.

– Będiesz tam musiał ciężko pracować, żeby jakoś przeżyć. Stąd nie dostaniesz nic.

– Dlaczego to mówisz?

– Bo wiem.

Szedł dalej do drzwi, nasłuchując, że go odwołają. „Ej, Gerardo! Tyle mam trosk, że byłbym zapomniał o tobie! Zawdzięczam ci usługi, których nie można opłacić pieniędzmi. Przyjmij to jako bardzo skromny podarunek”.

Ale nie wołano go. Przeszedł przez bramę i odwiązał swego konia od słupa. Wsiadł i jadąc stępą, starając się nie oddalać za bardzo, by słyszeć, czy go nie wzywają, ruszył w kierunku Comala, nie zbaczając z drogi. Gdy odwróciwszy głowę, zobaczył, że Media Luna zniknęła już w dali, pomyślał: „To byłoby wielkie poniżenie prosić go o pożyczkę”.

– Don Pedro, wróciłem, bo nie jestem z siebie zadowolony. Chętnie będę nadal prowadził pańskie sprawy.

Powiedział to, siedząc znowu w biurze Pedra Páramo, które opuścił zaledwie pół godziny temu.

– Dobrze, Gerardo. Tu masz papiery, w tym samym miejscu, gdzie je zostawiłeś.

– Chciałbym także... Mam duże wydatki w związku z przenosinami. Czy nie mógłbym dostać jakiejś małej zaliczki za honoraria? Jakiegoś ekstra dodatku, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

– Pięćset?

– Nie mogłoby być więcej, powiedzmy – troszeczkę więcej?

– Tysiąc ci wystarczy?

– A gdyby tak pięć?

– Pięć czego? Pięć tysięcy pesos? Nie mam tyle. Wiesz, że cała gotówka jest zainwestowana. Ziemia, bydło. Sam dobrze wiesz. Weź tysiąc. Nie przypuszczam, żebyś potrzebował więcej.

Pogrzywał się w medytacjach. Głowę miał nisko spuszczoną. Słyszał brzęk monet na biurku, gdzie Pedro Páramo liczył pieniądze. Wspominał don Lucasa, który zawsze zalegał z wypłatą jego honorariów. Don Pedro otworzył nowy rachunek. A Miguel, jego syn! Ile trosk przysporzył mu ten chłopak!

Ocalił go od więzienia co najmniej piętnaście razy, jeżeli nie więcej. A zabójstwo popełnione na tym człowieku, jakże on się nazywał? Rentería. Tak, to to. Zamordowany nazwiskiem Rentería, któremu włożono pistolet do ręki. Jaki przestraszony był Miguelito, chociaż później się z tego śmiał! Ile kosztowałoby don Pedra, gdyby doszło do obrachunku w sądach! A te gwałty popełniane na prawo i na lewo! Ile razy musiał wyciągać pieniądze z własnej kieszeni, żeby poszkodowane zapomniały o tej historii! „Nie martw się, będziesz miała syna w czepku urodzonego” – mówił im.

– Masz tu, Gerardo. A pilnuj ich dobrze, bo nie zakwitną na nowo z wiosną ani się nie odrodzą.

A on, wciąż jeszcze zagłębiony w swoich myślach, odpowiedział:

– Tak, zmarli także się nie odradzają. – I dodał: – Niestety.

Brakowało wiele do świtu. Niebo było pełne gwiazd, dużych, napęczniałych ciemnością. Księżyc wypłynął na chwilę, potem znikł. Był to jeden z tych smutnych księżyców, na które nikt nie zwraca uwagi. Chwilę trwał na niebie, zniekształcony, nie dając żadnego światła, a potem ukrył się za wzgórzami.

Daleko, zagubione w ciemnościach, słychać było ryczenie byków.

Te zwierzęta nigdy nie śpią – powiedziała Damiana Cisneros. – Nigdy nie śpią. Zupełnie jak diabeł, co krąży w poszukiwaniu dusz, żeby je zabrać do Piekła.

Obróciła się na łóżku, przybliżając twarz do ściany. Wtedy usłyszała stukanie.

Wstrzymała oddech i otworzyła oczy. Usłyszała znowu trzy krótkie uderzenia, jakby ktoś stuknął ręką w ścianę. Nie tutaj, koło niej, trochę dalej. Ale w tę samą ścianę.

Boże, zmiłuj się! To przecież trzy sygnały świętego Paschalisa Bailón. Pewnie uprzedza kogoś z tych, co mają do niego nabożeństwo, że nadeszła godzina jego śmierci.

Zaniechała nowenny już od dawna, z powodu reumatyzmu, który utrudniał jej klęczenie, toteż nie przejęła się tą myślą. Ale ogarnęła ją trwoga, a zarazem silniejsza od strachu ciekawość.

Wstała z łóżka bezszelestnie i podeszła do okna.

Pola były czarne. Mimo to zbyt dobrze знаła Pedra Páramo, by nie dostrzec od razu jego masywnej postaci, skradającej się pod okno piastunki Margarity.

– Ach, to don Pedro – powiedziała Damiana. – Wciąż łązi po nocach jak kot. Nie rozumiem tylko, czemu robi to tak po kryjomu. Gdyby mnie uprzedził, powiedziałabym Margaricie, że jej potrzebuje na dzisiejszą noc, i nie musiałby nawet fatygować się i wstawać z łóżka.

Zamknęła okno, żeby nie usłyszeć ryczenia byków. Rzuciła się na łóżko, owijając się kocem aż po uszy. Potem zaczęła myśleć o tym, co teraz przeżywa Margarita.

Później musiała zdjąć koszulę, bo noc zaczęła się robić gorąca.

– Damiano! – usłyszała wołanie.

Wtedy jeszcze była dziewczynką.

– Otwórz mi drzwi, Damiano!

Serce jej drżało jak żaba, która chce wyskoczyć z klatki żeber.

– Ale po co, don Pedro?

– Otwórz, Damiano.

– Ale ja już śpię, don Pedro!

Potem usłyszała, że don Pedro odchodzi długim korytarzem, stukając głośno obcasami, jak zwykle, kiedy był zły.

Następnej nocy, żeby uniknąć przykrości, zostawiła drzwi uchylone i nawet rozebrała się do naga, żeby usunąć wszelkie przeszkody.

Ale Pedro Páramo nigdy nie zastukał do niej drugi raz.

Toteż teraz, kiedy była już stara i sprawowała nadzór nad całą służbą na hacjendzie, zyskawszy sobie szacunek, jeszcze myślała o tej nocy, kiedy pan dziedzic jej powiedział:

Otwórz mi drzwi, Damiano!

I położyła się, myśląc o tym, jak szczęśliwa musiała być w owej chwili Margarita.

Potem usłyszała inne stukanie, ale do głównych drzwi, jakby ktoś walił w nie kolbami.

Znowu otworzyła okno i wychyliła się w ciemność. – Nie widziała nic, choć zdawało jej się, że ziemia paruje jak po deszczu, kiedy zaczynają roić się dżdżownice. Czuła jakiś podnoszący się opar, niby ciepło dużej gromady ludzi. Słyszała rechotanie żab, świerszcze, odgłosy spokojnej nocy pory deszczowej. Potem znów rozległo się dobijanie kolbami do drzwi.

Czyjaś latarka rzuciła snop światła na twarze kilku ludzi. Potem zgasła.

To już nie moje sprawy – powiedziała Damiana Cisneros i zamknęła okno.

– Słyszałem, że cię rozgromili, Damasio. Dlaczegoś pozwolił, żeby do tego doszło?

– Źle pan słyszał, szefie. Nic mi się nie stało. Nie straciłem ani jednego z ludzi. Przyprowadziłem tu siedmiuset i jeszcze paru jeńców. Wszystko dlatego, że kilku ze „starych”, którym znudziło się siedzieć z założonymi rękami, zaczęło strzelać do plutonu łachmaniarzy, który okazał się całą armią. Villiści, wie pan?

– A ci skąd się wzięli?

– Przychodzą z północy i niszczą, co spotkają na drodze. Zdaje się, z tego, co widać, że przebiegają cały kraj, wypróbowując wszędzie teren. Mają siłę. Na to nie ma rady.

– A czemu do nich nie przystąpisz? Mówiłem ci nieraz, że trzeba być z tym, co wygrywa.

– Już jestem z nimi.

– No to czego ode mnie chcesz?

– Potrzebujemy pieniędzy, szefie. Już nie możemy jeść samego mięsa. Znudziło nam się. A nikt nie chce dawać na kredyt. Toteż przychodzimy, żeby pan nas zaaprowizował i żebyśmy nie byli zmuszeni rabować. Gdybyśmy przychodzili z daleka, to co innego, można byłoby oskubać tego i owego z sąsiadów, ale tu wszyscy jesteśmy z sobą spokrewnieni i nieprzyjemnie nam kraść. Jednym słowem potrzebujemy pieniędzy, żeby kupić na rynku choćby słoniny z fasolą. Nie możemy już patrzeć na mięso.

– Teraz jeszcze będziesz ze mnie ciągnął, Damasio?

– Nic podobnego, szefie. Mówię w imieniu chłopców. O siebie się nie kłopotzę.

– To bardzo ładnie, że ujmujesz się za twymi ludźmi, ale staraj się wyciągnąć od innych to, czego potrzebujesz. Ode mnie już dostałeś. Ogranicz się do tego, co ci dałem. A to, co ci powiem teraz, to nie rada ani nic w tym rodzaju, ale czy nie przyszło ci nigdy do

głowy zaatakować Contla? Po co niby przystąpiłeś do rewolucji? Jeżeli będziesz prosił o jałmużnę, to jesteś reakcjonistą. Lepiej wracaj hodować kury razem z twoją żoną. Rusz się i zacznij szturmować jakieś miasto. Jeżeli ty ryzykujesz swoją skórę, czemu inni nie mają dołożyć czegoś od siebie? Contla roi się od bogaczy. Uszczknij trochę z tego, co mają. Chyba że oni uważają cię za swego protektora i myślą, że jesteś tu po to, żeby pilnować ich dóbr. Nie, Damasio. Pokaż im, że to nie przelewki. Daj im dobrego łupnia, a zobaczysz, że wyjdiesz z grubszą forszą z tego interesu.

– Niech i tak będzie, szefie. Od pana nigdy nie wychodzę z próżnymi rękami. Zawsze wynoszę jakąś korzyść.

– No więc niech ci to wyjdzie na korzyść.

Pedro Páramo patrzył na odchodzących ludzi, słyszał tętent defilujących przed nim ciemnych koni, stapiających się z ciemnością. Pot i kurz: drganie ziemi. Gdy zobaczył znów migoczące światełka robaczków świętojańskich, uświadomił sobie, że wszyscy odeszli. Pozostał tylko on, sam jak twardy pień, zaczynający próchnieć od wewnątrz.

Myślał o Susanie San Juan. Myślał o dziewczynie, z którą spał zaledwie chwilę temu. To drobne ciało wstydlive i drżące, jak gdyby miało za chwilę wyrzucić serce ustami. „Ty bryłko mięsa!” – powiedział jej. I obejmował ją, usiłując przeobrazić każdą tkankę jej ciała w ciało Susany San Juan. „Kobiety, która nie była z tego świata”.

Gdy zaczyna świtać, dzień rozwija się w równomiernych pauzach, prawie słychać zgrzyt obracających się zawiasów ziemi, przeżartych rdzą: wibracja tej starej ziemi, która przesuwa na drugą stronę swoją ciemność.

– Prawda, że noc pełna jest grzechów, Justino?

– Tak, Susano.

– Ale to prawda?

– Tak musi być, Susano.

– A czym jest życie, jak ty myślisz, Justino, jeśli nie grzechem? Nie słyszysz? Nie słyszysz, jak stęka ziemia?

– Nie, Susano, nie mogę nic dosłyszeć. Nie mam tego daru co ty.

– Zdziwiłabyś się. Mówię ci, że zdziwiłabyś się, gdybyś słyszała to, co ja słyszę.

Justina dalej sprzątała pokój. Przesunęła raz i drugi szczotką po wilgotnych deskach podłogi. Wylała wodę z pękniętego flakonu. Zebrała kwiaty. Skorupy wrzuciła do wiadra z wodą.

– Ile ptaków zabiłaś w swoim życiu, Justino?

- Dużo, Susano.
- I nie było ci smutno?
- Tak, Susano.
- A więc na co czekasz, żeby umrzeć?
- Na śmierć, Susano.
- Jeżeli tylko na to, to przyjdzie na pewno. Nie martw się.

Susana San Juan siedziała wsparta na poduszkach. Jej niespokojne oczy wodziły na wszystkie strony. Ręce złożone na brzuchu jak ochronna muszla. Lekkie brzęczenie niby szum skrzydeł nad jej głową. I zgrzyt kołowrotu studni. Hałasy ludzi wstających ze snu.

- Ty wierzysz w Piekło, Justino?
- Tak, Susano. I w Niebo także.
- Ja wierzę tylko w Piekło – powiedziała. I zamknęła oczy.

Gdy Justina wyszła z pokoju, Susana San Juan znowu drzemała leciutko, a za oknami świeciło słońce. Na drodze spotkała Pedra Páramo.

- Jak się ma pani?
- Źle – odpowiedziała, schylając głowę.
- Skarży się?

– Nie, nie skarży się na nic, ale mówią, że zmarli już się nie skarżą. Pani jest stracona dla wszystkich.

- Ojciec Rentería nie przyszedł do niej?

– Był wczoraj wieczorem i spowiadał ją. Dzisiaj powinna przyjąć komunię świętą, ale widocznie nie jest w stanie łaski, bo ojciec Rentería nie przyniósł wiatyku. Powiedział, że przyjdzie wcześniej, a widzi pan, że słońce już wysoko, a jego nie ma. Nie otrzymała łaski.

- Czyjej łaski?
- Boskiej, proszę pana.
- Nie bądź głupia, Justino.
- Jak pan sobie życzy, proszę pana.

Pedro Páramo otworzył drzwi i stanął tuż przy nich, pozwalając, by promień światła padał na Susanę San Juan. Zobaczył jej oczy mocno zaciśnięte, jak wtedy, gdy czuje się wewnętrzny ból, usta wilgotne, na pół otwarte, ręce nieprzytomnie wędrujące po prześcieradłach, dopóki nie ukazała się nagość jej ciała, zaczynającego zwijać się w kon-

wulsjach.

Przebiegł niewielką przestrzeń oddzielającą go od łóżka i przykrył to nagie ciało, które dalej szamotało się niby robak, w coraz gwałtowniejszych spazmach. Przybliżył usta do jej ucha i przemówił do niej: „Susano!”. I znów powtórzył: „Susano!”.

Otworzyły się drzwi i wszedł ojciec Rentería w milczeniu, poruszając lekko wargami:

– Dam ci komunię świętą, moja córko.

Czekał, aż Pedro Páramo uniósł ją i pomógł oprzeć plecy o poduszki. Susana San Juan, na pół uśpiona, wyciągnęła język i połknęła hostię. Potem powiedziała: „Jaką piękną chwilę przeżyliśmy, Florencio”. I znów pogrążyła się w grobowej otchłani prześcieradeł.

– Widzi pani to okno, doño Fausto, tam, w Media Luna, to, gdzie zawsze paliło się światło?

– Nie, Angeles. Nie widzę żadnego okna.

– Bo w tej chwili właśnie światło zgasło. Czy aby się co złego nie dzieje w Media Luna? Od przeszło trzech lat w tym oknie paliło się światło, noc w noc. Mówią ci, co tam byli, że to jest pokój, gdzie mieszka żona Pedra Páramo, biedna obłąkana, co się boi ciemności. I spójrz pani: w tej chwili właśnie zgasło światło.

– Może umarła. Była bardzo chora. Mówią, że już nie poznawała ludzi i podobno rozmawiała sama z sobą. Dobrze musiał wycierpieć za swoje Pedro Páramo, kiedy się ożenił z tą kobietą.

– Biedny nasz don Pedro.

– Nie, Fausto. Zasłużył na to. I na jeszcze więcej.

– Niech pani patrzy, okno wciąż jest ciemne.

– Zostaw pani w spokoju to okno i chodźmy spać, bo już bardzo późno jak na dwie staruszki, co muszą same iść przez ulicę.

Dwie staruszki, które wychodziły z kościoła prawie o jedenastej w nocy, znikły pod arkadami portalu, patrząc, jak cień mężczyzny przechodzi przez plac w kierunku Media Luna.

– Doño Fausto, nie zdaje się pani, że ten pan, co tam idzie, to doktor Valencia?

– Chyba że tak, chociaż tak już niedowidzę, że nie mogłabym go poznać.

– Niech pani sobie przypomni, że on zawsze nosi białe spodnie i czarną marynarkę. Założyłabym się, że coś złego się stało w Media Luna. I niech pani patrzy, jak prędko idzie, jakby go coś poganiało.

– Byleby to naprawdę nie było coś poważnego. Mam ochotę zawrócić i powiedzieć ojcu Renterii, żeby tam poszedł, niech ta nieszczęsna przynajmniej nie umiera bez spowiedzi.

– Nie ma co nawet o tym myśleć, Angeles. Nie daj Boże. Po wszystkim, co biedactwo wycierpiało na tym świecie, nikt by nie chciał, żeby odeszła bez pociechy religijnej i dalej pokutowała na tamtym świecie. Chociaż mówią mędracy, że obłąkanym spowiedź niepotrzebna i nawet jeśli duszę mają nieczystą, są niewinni. Bóg tylko wie, jak to jest... Patrz, pani, znowu zapaliło się światło w oknie. Oby wszystko dobrze się skończyło. Niech sobie pani wyobrazi, teraz, kiedyśmy się przez tyle dni mordowały przy sprzątaniu kościoła, żeby ładnie wyglądał na Boże Narodzenie, co po naszej całej robocie, gdyby ktoś umarł w tym domu. Don Pedro ma dosyć posłuchu, żeby wszystko w mig przewrócić do góry nogami.

– Pani zawsze przychodzi na myśl najgorsze, doño Fausto. Lepiej niech pani robi tak jak ja: wszystko zdaję na Boską Opatrzność. Niech pani odmówi „Zdrowaś Maria”, a jestem pewna, że nic się nie stanie w Media Luna dziś ani jutro. Później niech się już dzieje wola Boża, tak czy owak ta biedaczka nie bardzo musi się radować, że żyje na tym świecie.

– To prawda, Angeles, pani zawsze mnie podtrzymuje na duchu. Zasnę z tą myślą. Mówią, że te myśli, co nawiedzają człowieka przed snem, idą prosto do nieba. Oby moje dotarły na te wysokości. Do widzenia, do jutra.

– Do jutra, doño Fausto.

Dwie staruszki weszły do swoich mieszkań. Cisza znowu zamknęła obręcz nocy nad miasteczkiem.

– „Usta moje pełne są ziemi”.

– Tak, ojczu.

– Nie mów: „Tak, ojczu”. Powtarzaj za mną to, co mówię.

– Cóż mi ksiądz chce powiedzieć? Spowiadać mnie jeszcze raz? Dlaczego jeszcze raz?

– To nie będzie spowiedź, Susano. Przyszedłem tylko z tobą porozmawiać. Przygotować cię na śmierć.

– Już mam umrzeć?

– Tak, córko.

– W takim razie czemu mnie ksiądz nie zostawi w spokoju? Tak bardzo chcę odpocząć. Musieli księdzu powiedzieć, żeby mi nie dał spać. Żeby ksiądz tu został ze mną,

póki nie odejdzie sen. Co zrobię później, żeby go odzyskać? Nic, ojczec. Czemu lepiej ojciec nie odejdzie i nie zostawi mnie w spokoju?

– Zostawię cię w spokoju, Susano. Powtarzaj tylko słowa, które do ciebie mówię, a zaśniesz powoli. Będzie ci się zdawało, że sama siebie kołyszysz do snu. A kiedy już zaśniesz, nikt cię nie obudzi... Nie obudzisz się już nigdy.

– Dobrze, ojczec. Zrobię, co ksiądz każe.

Ojciec Rentería, siedząc na brzegu łóżka, położywszy dłonie na ramionach Susany San Juan, z ustami przy jej uchu, żeby nie mówić głośno, jakby sączył jej do ucha każde słowo po kolei: „Usta moje pełne są ziemi”. Potem zatrzymał się. Usiłował zobaczyć, czyjej wargi się poruszają. I spostrzegł, że drgają, chociaż nie wychodził z nich żaden dźwięk.

Usta moje pełne są ciebie, twoich ust. Twoich warg zaciśniętych, twardych, jakby gryzły, miażdżąc moje wargi...

Zatrzymała się także. Spojrzała z ukosa na ojca Renterię i zobaczyła go z daleka, jakby stał za matową szybą.

Potem znów usłyszała głos rozgrzewający jej ucho:

– Połykam spienioną ślinę. Żuję grudy ziemi przeżarte przez robaki, które kłębią mi się w gardle i wgrzają w podniebienie... Moje usta zapadają się, wykrzywione w grymasach, przedziurawione zębami, które świdrują i pożerają. Nos odpada, rozpływa się szkliwo oczu. Włosy płoną trawione płomieniem...

Dziwił go spokój Susany San Juan. Chciałby odgadnąć jej myśli i widzieć bitwę, jaką stacza to serce, by odpychać obrazy, które on zasiewał wewnątrz niej. Spojrzał jej w oczy i ona odpowiedziała na jego spojrzenie. I zdawało mu się, że widzi, jak jej wargi zmuszają się do uśmiechu.

– Jeszcze czegoś brakuje. Wizja Boga. Łagodne światło z bezkresnego nieba. Radość cherubinów i śpiew serafinów. Wesele oczu Boga, ostatnia, krótka wizja skazanych na wieczne potępienie. I nie tylko to, lecz wszystko połączone z bólem ziemskim. Szpik naszych kości przemieniony w płomień, a żyły, w których krąży nasza krew – w ogniste nici, przenikające nas niewiarygodnym cierpieniem, nie uśmierzonym nigdy, wciąż podsycanym przez gniew Boży.

On oplatał mnie swymi ramionami. Dawał mi miłość.

Ojciec Rentería przebiegł wzrokiem sylwetki otaczających go ludzi, oczekując ostatniego momentu. Przy drzwiach Pedro Páramo czekał, skrzyżowawszy ramiona na piersi, za nim doktor Valencia, a obok niego inni panowie. Dalej, w cieniu, gromadka kobiet, niecierpliwie wyczekująca chwili rozpoczęcia modlitw za zmarłych.

Zamierzał wstać. Dać chorej święte oleje i powiedzieć: „Skończyłem”. Ale nie, jeszcze nie skończył. Nie mógł udzielić sakramentów tej kobiecie, nie znając miary jej skruchy.

Ogarnęły go wątpliwości. Może ona nie miała za co żałować. Może on nie miał jej nic do przebaczenia. Znow pochylił się nad nią i potrząsając jej ramionami, powiedział cicho:

– Staniesz przed obliczem Boga. A jego sąd nad grzesznikami nie jest sądem ludzkim.

Potem znow przysunął usta do jej ucha, ale ona poruszyła przecząco głową.

– Proszę już odejść, ojcie. Proszę się dla mnie nie umartwiać. Jestem spokojna i bardzo chcę spać.

Dało się słyszeć łkanie jednej z kobiet ukrytych w cieniu. Wtedy w Susanę San Juan wstąpiło życie. Uniosła się na łóżku i powiedziała:

– Justino, zrób mi tę łaskę i idź płakać gdzie indziej.

Potem uczuła, że głowa wbija się jej w brzuch. Próbowała oddzielić brzuch od głowy, odsunąć na bok ten brzuch, który przygniatał jej oczy i tamował oddech, ale związała się coraz ciaśniej, jakby zapadając w ciemność.

– Ja. Ja widziałam, jak umierała doña Susanita.

– Co mówisz, Doroteo?

– To, co powiedziałam.

O świcie ludzi obudziło bicie dzwonów. Był to ranek 8 grudnia. Szary świt. Nie zimny, lecz szary. Najpierw rozdzwięczał się duży dzwon. Za nim poszły inne. Niektórzy sądzili, że zwołują na uroczystą mszę, i zaczęły otwierać się drzwi, niewiele, tylko te, gdzie mieszkali ludzie, którzy wstają o brzasku i czekają z otwartymi oczyma, aż dzwon na jutrznię ogłosi im, że skończyła się noc. Ale koncert dzwonów trwał dłużej niż zwykle. Biły już nie tylko dzwony w największym kościele, lecz także w kościele Krwi Chrystusowej, Zielonego Krzyża, a może i w Sanktuarium. Nadeszło południe, a żałobna muzyka nie ucichła. Nadeszła noc. W dzień i w nocy dzwony huczały dalej, wszystkie jak jeden, coraz mocniej, aż wreszcie ich gra stała się potężnym lamentem. Ludzie krzyczeli, żeby się nawzajem usłyszeć. „Co się stało?” – pytali jedni drugich.

Po trzech dniach wszyscy ogłuchli. Nie sposób było rozmawiać przy tym huku wypełniającym powietrze. Ale dzwony huczały wciąż nieprzerwanie, jak kaskada, z głuchym dźwiękiem glinianego dzbana.

– Umarła doña Susana.

– Umarła? Kto taki?

– Pani.

– Twoja pani?

– Pedra Páramo.

Zaczęli przybywać ludzie z innych stron, zwabieni nieustającym koncertem. Z Contla przybywały całe pielgrzymki. I z jeszcze dalszych miast. Nie wiedzieć skąd przywędrował także cyrk z akrobatami i latającymi fotelami. Muzykanci. Z początku trzymali się na uboczu, jak widzowie, a potem podchodzili coraz bliżej. Były nawet serenady. I z wolna przeobraziło się to w powszechny festyn. Comala zaroilo się od ludzi, wypełniło gwarem i hałasem, tak jak w dni jarmarczne, i trudno było przecisnąć się przez tłum na ulicach.

Dzwony przestały bić, ale zabawa trwała dalej. Nie było sposobu przekonać ludzi, że to uroczystość żałobna, dni żałoby. Nie było sposobu ich rozpędzić, przeciwnie, wciąż napływały nowe rzesze.

Media Luna była samotna, pogrążona w milczeniu. Ludzie chodzili tam boso, mówili po cichutku. Pochowano Susanę San Juan, a w Comala niewiele osób o tym wiedziało. Tam wciąż trwał jarmark. Odbywały się walki kogutów, rozbrzmiewała muzyka. Krzyki pijaków i sprzedawców biletów na loterię. Nawet tutaj docierały rześiste światła miasteczka, tworząc aureolę na szarym niebie. Bo dni były szare, smutne dla Media Luna. Don Pedro nie odzywał się do nikogo. Nie wychodził ze swego pokoju. Przysiągł zemścić się na całym miasteczku.

– Siądę z założonymi rękami i Comala umrze z głodu.

I tak zrobił.

Tilcuate zachodził do niego nadal.

– Teraz jesteśmy z Carraną.

– To dobrze.

– Idziemy z generałem Obregon.

– Bardzo dobrze.

– Zawarto pokój. Teraz jesteśmy wolni.

– Zaczekaj. Nie rozbrajaj twoich ludzi. To nie może potrwać długo.

– Powstał zbrojnie ojciec Rentería. Mamy iść z nim czy przeciw niemu?

- Nad tym nie warto się zastanawiać. Stań po stronie rządu.
- Ale my nie jesteśmy regularnym wojskiem. Uważają nas za buntowników.
- W takim razie odpocznij.
- Teraz, jak nabrałem rozmachu?
- Więc rób, jak chcesz.
- Wesprę chyba ojczulka. Podoba mi się to, co krzyczą. A do tego jeszcze zyskuje człowiek zbawienie duszy.
- Rób, co chcesz.

Pedro Páramo siedział na wielkiej skrzyni przy głównym wejściu do Media Luna. Chwilę przedtem zniknął ostatni cień nocny. Był sam może od trzech godzin. Nie spał. Zapomniał o śnie i o czasie. „My, starzy, śpimy mało, prawie nigdy. Czasem zapadamy w drzemkę, ale nigdy nie przestając myśleć”. Potem dodał głośno: „Już wkrótce. Już wkrótce”.

I mówił dalej: Dawno już odeszłaś, Susano. Światło było wtedy takie samo jak teraz, nie tak czerwone. Ale to było to samo blade światło, bez blasku, owinięte w białą płachtę mgły, tak jak teraz. To był ten sam moment. Ja tu, przy drzwiach, spoglądający na świt i na to, jak ty odchodzisz drogą ku niebu; tam gdzie niebo zaczęło otwierać się w jasności, oddalałaś się, coraz bardziej bezbarwna pośród cieniów ziemi.

Wtedy widziałem cię ostatni raz. Przeszłaś, potrącając twoim ciałem o gałęzie rajskiego drzewa na trawniku i zabrałaś z sobą jego ostatnie listki. Powiedziałem ci: „Wracaj, Susano!”.

Pedro Páramo dalej poruszał wargami, szeptał słowa. Potem zamknął i na pół otworzył oczy, w których odbiła się blada jasność zorzy.

Świtało.

O tej samej godzinie doña Inés, matka Gamaliela Villalpando, zamiatała ulicę przed sklepem swego syna, kiedy nadszedł i wśliznął się przez uchylone drzwi Abundio Martínez. Natknął się na Gamaliela śpiącego na kontuarze, z twarzą nakrytą kapeluszem, żeby nie dokuczały mu muchy. Musiał czekać długą chwilę, nim Gamaliel się obudził. Musiał czekać, aż doña Inés, skończywszy zamiatać ulicę, szturchnęła syna w żebra kijem od szczotki i powiedziała:

– Masz tu klienta. Wstawaj.

Gamaliel zwlókł się niechętnie, mrużąc z niezadowoleniem. Oczy miał czerwone z niewyspania, bo musiał dotrzymywać towarzystwa pijakom, upijając się wraz z nimi.

Siedząc na ladzie, przeklinał swoją matkę, przeklinał siebie samego i nieskończoną ilość razy przeklinał życie „nie warte nawet tego, żeby mu w gębę napluć”. Potem znów ułożył się wygodnie i zasnął z powrotem, mrużąc jeszcze przekleństwa:

– To nie moja wina, że o tej porze pijacy włóczą się swobodnie po mieście.

– Biedny mój syn. Musisz mu wybaczyć, Abundio. Biedak całą noc obsługiwał jakichś podróżnych, którzy pili na umór. Co cię tu sprowadza o tak wczesnej godzinie?

Powiedziała to, krzycząc, bo Abundio był głuchy.

– Nic więcej prócz kwatereczki spirytusu, bo bardzo jej potrzebuję.

– Znowu ci zemdląła Refugio?

– Już mi umarła, matko Villa. Wczoraj w nocy, koło jedenastej. A przecież sprzedałem nawet moje osły. Pomyśleć, że nawet to sprzedałem, byle mi wyzdrowiała.

– Nie słyszę, co mówisz. A może nic nie mówiłeś? Czy mówisz?

– Że spędziłem noc, czuwając przy zmarłej, przy Refugio. Wczoraj wieczorem wyzionęła ducha.

– Nie na próżno czułam w powietrzu śmierć! Nawet powiedziałam do Gamaliela: „Coś mi się zdaje, że ktoś z naszych umarł”. Ale nie zwrócił na to uwagi, musiał dotrzymać towarzystwa tym podróżnym i upił się, biedaczysko. A sam wiesz, że kiedy jest w tym stanie, z wszystkiego chce mu się śmiać i na nic nie zwraca uwagi. Ale co ty mi powiadasz? I zaprosiłeś ludzi na czuwanie?

– Nikogo, matko Villa. Dlatego chcę trochę spirytusu, żeby zalać smutek.

– Chcesz czystego?

– Tak, matko Villa. Żeby prędzej się upić. I daj mi to prędko, bo mi się spieszy.

– Dam ci dwie dziesiątki za tę samą cenę, bo to dla ciebie. A powiedz twojej kochanej nieboszczce, że zawsze ją lubiłam i szanowałam, i żeby pamiętała o mnie w niebie.

– Tak, matko Villa.

– Powiedz jej to, zanim zeszywnieje.

– Powiem. Wiem, że ona także liczy na pani modlitwy. I umarła w wielkim smutku, bo nie było nikogo, kto by jej pomógł.

– Co, nie poszedłeś po ojca Renterię?

– Poszedłem. Ale mi powiedzieli, że jest z powstańcami na górze.

– Na jakiej górze?

– No tam, za drogą. Pani wie, że jest powstanie.

– Więc on też? Biedni my, Abundio.

– A nam co do tego, matko Villa? Ani nas to grzeje, ani ziębi. Daj mi pani jeszcze kwatereczkę. Nikt się nie dowie, Gamaliel śpi.

– Ale nie zapomnij poprosić Refugio, żeby wstawiła się za mną u Boga, bo mi bardzo tego potrzeba.

– Niech pani będzie spokojna. Powiem jej, jak tylko wrócę. I nawet wymogę na niej przyrzeczenie, jeśli pani tak chce, żeby pani była spokojna.

– O, to to. Tak powinienesz zrobić. Bo to wiesz, jakie są kobiety, trzeba dopilnować, żeby zaraz zrobiły, o co się prosi.

Abundio Martínez zostawił jeszcze dwadzieścia centavos na ladzie.

– Niech mi pani da jeszcze kwatereczkę, matko Villa. A jakby pani chciała jeszcze dolać, to już pani rzecz. Ja tylko mogę pani obiecać, że tę kwatereczkę wypiję już przy mojej nieboszczce.

– No to już idź, prędko, zanim się obudzi mój syn. Rano, po pijatyce, budzi się zawsze w takim humorze, że bez kija nie podchodzi. Leć i nie zapomnij powtórzyć mojej prośby twojej żonie.

Wyszedł ze sklepu, kichając. W ustach i w gardle czuł żywy ogień, ale powiedziano mu, że w ten sposób spirytus działa prędeziej, więc pociągał łyk po łyku, wachlując sobie usta połą koszuli. Potem próbował iść prosto do swego domu, gdzie czekała na niego Refugio, ale zбочzył z drogi i zaczął wspinać się w górę ulicy, za wieś, tak jak go ścieżka prowadziła.

– Damiano! – zawołał Pedro Páramo. – Idź no zobacz, czego chce ten człowiek, co tu idzie drogą.

Abundio dalej sunął naprzód, potykając się, pochylając głowę i od czasu do czasu opadając na czworaki. Czuł, że ziemia rusza mu się pod stopami, przewraca się, a chwila-mi ucieka, biegł, żeby ją pochwycić, a gdy już ją miał w rękach, zaczynał iść dalej, aż wreszcie znalazł się oko w oko z mężczyzną, który siedział na skrzyni przy drzwiach. Wtedy zatrzymał się.

– Dajcie mi co łaska, żebym mógł pogrzebać żonę – powiedział.

Damiana modliła się: „Od sideł nieprzyjacielskich wybaw nas, Panie”, wskazując Abundia palcem, a potem czyniąc znak krzyża.

Abundio Martínez zobaczył przed sobą kobietę o zaczerwienionych oczach, witającą go tym krzyżem, i zadrżał. Pomyślał, że może diabeł szedł za nim aż tutaj, i obejrzał się, oczekując, że ujrzy jakąś niedobrą zjawę. Ponieważ nie zobaczył nikogo,

powtórzył:

– Przychodzę po mały datek na pogrzeb mojej niebogi.

Słońce grzało go w plecy. To słońce, które niedawno weszło niemal jeszcze zimne, za zasłoną kurzu.

Twarz Pedra Páramo skryła się pod kocami, jakby chowała się przed światłem, podczas gdy krzyki Damiany biegły przez pola: „Mordują don Pedra!”.

Abundio Martínez słyszał, że ta kobieta krzyczy. Nie wiedział, co robić, żeby skończyć z tymi krzykami. Jego myśli urywały się w pewnym punkcie, żadnej nie mógł doprowadzić do końca. Przeczuwał, że krzyki staruszki musi być słyhać bardzo daleko. Może je nawet usłyszy jego żona, bo jemu samemu przebijają uszy, chociaż nie rozumiał, co ona mówi. Myślał o swojej żonie, która leżała rozciągnięta na barłogu, samiutka, tam na podwórzu jego domu, gdzie ją wyniósł, żeby ochłodziła i nie zaczęła się od razu rozkładać. Cuca, która jeszcze wczoraj spała z nim, żywa i figlarna jak młoda klacz, ta, co go gryzła i pocierała nosem o czubek jego nosa. Ta, która urodziła mu tego synka, co im umarł zaraz po urodzeniu, bo jak mu wytłumaczono, nie miała biedaczka zdrowia: chore oko i wieczne przeziębienia, zapalenie i nie wiadomo co jeszcze, bo tyle chorób miała jego żona według opinii doktora, który przyszedł ją zbadać już w ostatniej chwili, kiedy on, Abundio, musiał sprzedać swoje osły, żeby go przyprowadzić do niej, bo tyle zażądał pieniędzy... Cuca, która teraz leży tam, nieczuła na chłód, wilgoć i opary nocy, z oczyma zamkniętymi, nie mogąc już dojrzeć świtu, ani tego słońca, ani żadnego innego.

– Pomóżcie mi – powiedział. – Dajcie mi coś.

Ale nawet sam siebie nie usłyszał. Krzyki tej kobiety ogłuszyły go. Na drodze z Comala poruszyło się kilka punkcików. Wkrótce punkty zmieniły się w ludzi i po chwili byli już tu, otaczali go. Damiana Cisneros przestała krzyczeć. Wypuściła z rąk krzyż. Leżała z otwartymi ustami, jakby ziewała.

Ludzie, którzy nadeszli, dźwignęli ją z ziemi i zanieśli do wnętrza domu.

– Nic się panu nie stało, don Pedro?

Ukazała się twarz Pedra Páramo, który poruszył tylko głową.

Rozbroili Abundia, odebrali mu nóż, jeszcze ociekający krwią.

– Chodź z nami – powiedzieli mu. – W ładną kabałę się wpakowałeś!

I poszedł za nimi.

Zanim weszli do wsi, przeprosił ich i odszedłszy na bok, z wymiotował. Z ust płynęła mu żółta ciecz, jakby zabarwiona żółcią. Całe potoki, jakby wypił dziesięć litrów wody. Potem płomienie ogarnęły jego głowę i język stał się jak z drewna.

– Jestem pijany – powiedział.

Wrócił do ludzi, którzy na niego czekali. Wsparł się na ich ramionach. Wlekli go po ziemi, w której jego stopy otwierały bruzdę.

Tam, za nim, Pedro Páramo, siedząc na skrzyni, patrzył na pochód idący w stronę wsi. Uczuł, że jego lewa ręka, gdy chciał ją podnieść, opada martwo na kolana, ale nie zwrócił na to uwagi. Przyzwyczajony był do codziennego umierania coraz to nowej części swego ciała. Widział, jak drży rajske drzewo, sypiąc liśćmi. „Wszyscy wybierają tę samą drogę. Wszyscy odchodzą”. Potem powrócił do miejsca, gdzie zostawił swoje myśli.

– Susano – powiedział. Potem zamknął oczy. – Prosiłem cię, żebyś wracała...

„... Był olbrzymi księżyc pośrodku świata. Traciłem oczy, wypatrując cię. Promienie księżyca padały prosto na twoją twarz. Bez końca przyglądałem się, nienasycony, tej zjawie, która była tobą. Łagodna, obłana księżycem: twoje usta o wydętych wargach, wilgotne, tęczone w blasku gwiazd. Twoje ciało przezroczyste w wodzie nocy, Susana, Susana San Juan”.

Chciał podnieść rękę, by rozjaśnić obraz; była jakby z kamienia. Spróbował podnieść drugą rękę, lecz opadła z wolna na bok, aż dłoń wparła się w ziemię niby szczudło, podpierając ramię bez kości.

To moja śmierć – powiedział.

Słońce krążyło nad ziemią, przywracając rzeczom ich kształt. Ziemia, wydana ruinie, była przed nim, pusta jak okiem sięgnąć. Jego ciało zaczęło się rozgrzewać jakimś dziwnym ciepłem. Oczy prawie się nie poruszały; wędrowały od jednego wspomnienia do drugiego, zacierając rysunek teraźniejszości. Serce zatrzymywało się chwilami, tak jakby się zatrzymywał czas. Jakby ustawał powiew życia.

Byle tylko to nie była znowu noc – myślał.

Bo się bał nocy i jej widm wypełniających ciemność. Osaczenia przez widma. Tego się lękał.

Wiem, że za parę godzin przyjdzie Abundio z zakrwawionymi rękami prosić o pomoc, której mu odmówiłem. A ja nie będę już miał rąk, by zasłonić sobie oczy i nie widzieć go. Będę musiał go słyszeć, póki dzień nie przyjdzie zgasić jego głosu, póki nie umrze jego głos.

Uczuł czyjeś dłonie dotykające jego ramion i wyprostował się.

– To ja, don Pedro – powiedziała Damiana. – Czy mam przynieść panu obiad?

Pedro Páramo odpowiedział:

– Idę tam. Już idę.

Wsparł się na ramionach Damiany Cisneros i próbował iść. Po kilku krokach upadł,

z lękiem w duszy, lecz nie mówiąc ani słowa. Jego ciało głucho uderzyło o ziemię i zaczęło się rozsypywać jak sterta kamieni.